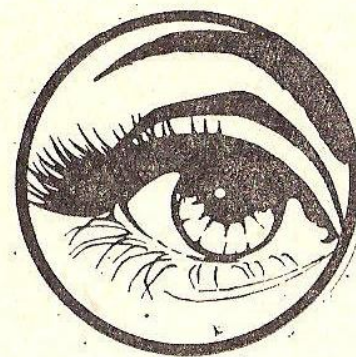


PL ISSN 324-8305
Nr indeksu 36408

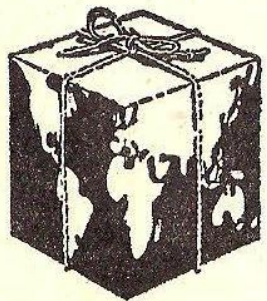
LITERATURA NA ŚWIECIE



WARSZAWA
GRUDZIEŃ
1985

miesięcznik nr 12 (172)

Numer oddano do składu 27 września 1985 roku, podpisano do druku
2 stycznia 1986 roku.



Redaguje zespół: Maria Bielska-Zientarska (sekretarz redakcji), Lech Budrecki (zastępca redaktora naczelnego), Jacek St. Buras, Danuta Cirić-Straszyńska, Leszek Engelking, Joanna Gałczyńska-Czudec (redaktor techniczny), Eugeniusz Kabatc (zastępca redaktora naczelnego), Anna Kołyszko, Mirosław Malcharek (redakcja graficzna), Mikołaj Melanowicz, Marta Mularukowa (zastępca sekretarza redakcji), Aleksandra Olędzka-Frybesowa, Krystyna Rodowska, Wacław Sadkowski (redaktor naczelnny), Piotr Sommer, Zygmunt Stoberski, Barbara L. Surowska, Józef Waczków, Anna Wasilewska oraz Hanna Kuźniarska i Kazimiera Sajkowska (korekta).

Adres redakcji: ul. Sienkiewicza 12, 00-010 Warszawa, IV p., pok. 423, tel. 27-47-91 i 26-94-41 wewn. 381 (redaktor naczelnny), 383 (z-cy redaktora naczelnego), 385 (sekretarz redakcji), 382 i 387 (redaktorzy działów), 389 (korekta), 379 (sekretariat).

KLAUS MANN

przełożył **RYSZARD WOJNAKOWSKI**

Zakła- towane okno

**Vous futes un poète, un soldat, le seul Roi
De ce siècle où les roi sefont si peu de choses...**

Verlaine: A Loucis II de Bavière

— To król — mówili służący i trwożyli się wszyscy aż do głębi duszy.

Niektórzy cisnęli się w korytarzu pierwszego piętra przy oknach; inni zbiegli na dół, do westybulu lub na zwirowany plac przed pałacem.

Każdy z nich wiedział, co się stało, i nie było wśród nich takiego, który nie oczekiwałby tej chwili w napięciu pomieszonym ze zgrozą.

Ich pan i król, Ludwik II Bawarski, odbywał wjazd do swej pięknej posiadłości, pałacu Berg nad Jeziorem Starnberskim. Ach — nie przybywał jednak, jak przystoi władczy. Towarzyszyli mu lekarze i pielęgniarze. Panowie z monachijskie-

go dworu zamykali ten ponury konwój, eskortowany przez konną policję.

Służący wiedzieli: pojmano ich władcę w pałacu Hohenschwangau po drugiej stronie jeziora jako szaleńca, niemal jak przestępcę. Doktorzy w Monachium w porozumieniu z rodziną Wittelsbachów i ministrami wydali na niego straszliwy wyrok: król jest chory — tak brzmiało w ogólnych zarysach orzeczenie lekarzy — chory umysłowo i prawdopodobnie nieuleczalnie; tak jak jego brat, książę Otto, który od lat, odcięty od świata, pędził gdzieś na pół zwierzęcy żywot. Choroba, na którą uczeni i dostojnicy skazali Jego Królewską Mość, tak jak skazuje się złoczyńców na surową karę, nazywana była paranoją. Nikt ze służby nie rozumiał tego niepokojąco obcego słowa, lecz wszyscy drżeli przed jego złowrogim brzmieniem.

Czyż było możliwe, żeby król, z Bożej łaski przecież i właściwie nietykalny, dostał paranoi jak jakiś żebrak trądu albo dziecko kokluszki? Ludwikowi II nie wolno było rządzić, ponieważ dotknięty był paranoją jak jakąś zarazą. — To musi być chyba rodzinne — mówili starsi i mądrzejsi spośród lokajów, czyniąc ponurą aluzję do nieszczęsnego księcia Ottona. Ale także oni byli nieufni wobec postępowania rodziny Wittelsbachów, lekarzy i ministrów w tej zagmatwanej i okropnej aferze. Wszyscy służący w pałacu Berg przypuszczali, że ich pan i król został ubezwłasnowolniony, zdetronizowany i uznany za szaleńca wskutek jakichś ciemnych machinacji. Książę Luitpold, stryj króla, chciał zostać regentem Bawarii; wszystko na to wskazywało. I dlatego władca z Bożej łaski miał teraz zniknąć w pokój, który właściwie był już niemal więzieniem. Ponieważ książę Luitpold miał chrapkę na koronę — tak podejrzewali lokaje — nauka, reprezentowa-

na przez głównego konsyliarza, doktora von Guddena i niektórych jego kolegów, wynalazła i przypięła królowi diabelską etykietkę „paranoja”: w tym punkcie wszyscy służący w pałacu Berg — poczciwi ludzie ze wsi — byli w zasadzie jednomyślni. Lecz swego zdania i swych podejrzeń nie śmieli już wypowiedzieć jawnie. Władza, państwo opowiedziały się po stronie księcia Luitpolda i doktora von Guddena — przeciwko królowi. Ten był zdradzony, wydany, złożony w ofierze — kto wie, czy porzuconego przez władzę w tak ostentacyjny sposób należało jeszcze w ogóle nazywać królem? Opór był daremny: lokaje rozumieli to bardzo dobrze; przywykli bowiem oddychać w atmosferze władzy i wiedzieli, że bunt przeciw niej praktycznie chyba nigdy nie wchodził w rachubę. Po kryjomu sympatyzowali z ludźmi z Hohenschwangau, góralami i dzielną miejscową żandarmerią, którzy zorganizowali prawdziwą małą rewolucję, kiedy panowie z Monachium — lekarze, ministrowie i urzędnicy dworscy — przybyli zabrać i uwięzić króla. Jakiż to był dzielny wyczyn ze strony ludzi w Hohenschwangau! — tak odczuwali bez wyjątku wszyscy służący. Z drugiej jednak strony, na co się to zdało, jakie konsekwencje miała brawurowa akcja garstki pasterzy, parobków i chłopów? Ma się rozumieć, początkowo udało się panów z Monachium przestraszyć i przepędzić z powrotem do domu kłosaми, flintami i groźnym hałasem; lecz oni przyszli znowu i legitymowali się jako władza — cała niewidzialna potęga władzy stała za nimi — i zmusili króla z Bożej łaski, przed którym jeszcze wczoraj kłaniali się do samej ziemi, żeby wsiadł do powozu i z pałacu Hohenschwangau pojechał do pałacu Berg, nad Jeziorem Starnberskim niedaleko Mo-

nachium, gdzie miał być przetrzymywany i więziony niczym drapieżne zwierzę.

Liczne środki ostrożności zarządził monachijscy panowie — książe Luitpold, doktor von Gudden i ministrowie — w pałacu Berg, po to tylko, aby zdetronizowany król miał jak najlepsze warunki i nie mógł ani uciec, ani wyrzucić sobie jakiejś krzywdy. Na przykład służącym surowo przykazano, żeby nie zostawiali nigdy Ludwika w pokoju samego z nożem czy jakimś innym sztucem. Przyszli także rzemieślnicy i zakratowali okna w sypialni Jego Królewskiej Mości; przed każdym umocowali, dosyć blisko siebie, pięć albo sześć grubych żelaznych prętów. Fakt ten oznaczał i dowodził, że w istocie był to niespodziewany koniec świetności Ludwika II, który swobodnie i z całym przepychem rezydował już w tylu pięknych pałacach. Tak poniżającymi środkami ostrożności władza pozbawiła go w sposób okrutny jego pomazaństwa Pożego. Za zakratowanymi oknami, niczym zbrodniarz, obalony monarcha będzie musiał spędzić resztę swoich dni... Wszystkie te okrutne demonstracje nauki i państwa przeciw biednemu i pięknemu panu robiły naturalnie na lokajach silne wrażenie. Mimo to nie chcieli wierzyć, że król Ludwik jest szaleńcem, a jego głowa dotknięta straszliwą chorobą zwaną paranoją. Za całkowicie wykluczone uważali to akurat ci, którzy służyli panu osobiście i znali bardzo dobrze jego skrajne dziwactwa, dzikie pomysły i humory. Cudownie nieobliczalna, skłonna do ekscesów natura monarchy, którą tak zawzięcie gorszyli się ministrowie, imponowała chłopskim synom. Prawie wszyscy, którzy znali króla takim, kochali go także. Ale teraz milczeli z lokajskiego respektu dla władzy i nie pisnęli słówkiem, kiedy rzemieślnicy usu-

nęli w apartamentach Jego Królewskiej Mości w pałacu Berg nawet klamki.

— To król! — szeptali lokaje bladymi wargami i wypatrywali z portalu lub okien pierwszego pietra nadjeżdżającego powozu.

Padął gęsty i jednostajny deszcz już od wielu dni. Wszyscy lokaje mówili, że takiego mokrego i zimnego czerwca, jak ten w roku 1886, nigdy jeszcze nie przeżyli. Deszcz otulał okolicę niczym szarą chustą. Nie widać było przeciwległego brzegu wąskiego jeziora. Deszcz szumiał na dachu pałacu i na wierzchołkach drzew w parku.

— To król!

Z drugiego pojazdu, który zatrzymał się nieco dalej w głębi parku, wysiadł jakiś mężczyzna w cywilu — prawdopodobnie lekarz albo pielęgniarz — i otworzył klamką od zewnątrz powóz, w którym siedział Ludwik II. Lokaje — na wpół oburzeni i na wpół przejęci szacunkiem dla okrutnej przezorności państwa — wymieniali uwagi na temat tego nowego szczegółu: z drzwi powozu usunięto klamkę, tak jak z drzwi do sypialni króla.

Podbiegł jeszcze jeden pan, żeby pomóc Jego Królewskiej Mości przy wysiadaniu z powozu; niektórzy z lokajów rozpoznali go: był to główny konsyliarz von Gudden. Ale Ludwik nie przyjął żadnej pomocy. Służący obserwowali, nie bez satysfakcji, jak ich władca — wychyliwszy już korpus z powozu — wykonał ręką dumny odmowny gest pod adresem głównego medyka i, nie dotknąwszy nadstawionego ramienia, elastycznymi, szerokimi, niemal radosnymi ruchami — jakby był zadowolony, że wypuszczono go z tej ciasnej dziupli, tej klatki na kółkach — opuścił powóz. Odszedł na dwa lub trzy długie kroki od drzwiczek pojazdu; potem jednak zatrzymał się i znieruchomiał, jakby zamienio-

ny w posąg; górująca nad innymi, niemal olbrzymia, szeroka, tragicznie ciemna postać, w draperii spływającej do samej ziemi czarnej peleryny przeciwdeszczowej, z nasuniętym na czoło czarnym kapeluszem z szerokim rondem.

Cień ronda kapelusza zasłaniał górną połowę twarzy niczym maska. Widoczne były tylko zaniedbana broda i miękkie, obrzmiałe usta. Kąciki ust ściągnięte miał w dół w wyrazie strapienia i odrazy.

Konsyliarz trwał obok Jego Królewskiej Mości w unizonej, ale także zdziwionej, przynaglającej do pośpiechu postawie — z obnażoną głową, wystawiwszy wysokie łyse czoło uczonego na szumiący nieustannie deszcz. Ludwik ociągał się jeszcze przez kilka sekund — wydawało się, że czekanie, aż łyšina i resztki cienkich włosów doktora doszczętnie przemokną, sprawiało mu jakąś złośliwą przyjemność; potem ruszył z miejsca, nie odwróciwszy się nawet, szedł olbrzymimi krokami w stronę pałacu — Gudden ledwie za nim nadązał — przeszedł śpiesznie obok kłaniających się lokajów przez portal, westybul, schodami na górę aż do swego pokoju. Szybkim kłusem podążyli za nim pielęgniarze, lekarze i owi urzędnicy dworscy, którzy byli właściwie strażnikami i szpiegami; smętna świta obalonego, ubezwłasnowolnionego majestatu.

Pierwszą rzeczą, jaką Ludwik stwierdził w swym pokoju, było: — Zakratowali okna. — Wzruszył przy tym w jakiś nieskończenie wyniosły sposób ramionami, a jego wzrok, wciąż jeszcze ocieniony szerokim rondem kapelusza, stał się przerażająco posepny. Doktor von Gudden skłonił się lekko: — Przypadek, Wasza Wysokość... Z czysto dekoracyjnych względów... — powiedział zupełnie bezmyślnie i właśnie w tej bezmyślności jego słów by-

ło dla króla coś obraźliwego i poniżającego: tak jak by on sam nie był już w ogóle w stanie rozróżnić, co w mowie jest sensem, a co nonsensem.

Główny konsyliarz spróbował się uśmiechnąć — przedsięwzięcie, które musiało przynieść żalony efekt wobec raptownego, wspaniałego gestu, jakim Ludwik odrzucił głowę daleko do tyłu, na kark. Przy tym oczy króla — który pozostał w swym osobliwie romantycznym stroju podróżnym, w spływającym do ziemi płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem — zamknęły się, a obie dłonie zacisnęły kurczowo w pięści. Wyraz bólu i obrzydzenia na dużym bladym obliczu zwróconym gniewnie swą zastygłą w cierpieniu powierzchnią ku plafonowi, był niesamowity.

Gudden obserwował go z przerażeniem, ale i wyczekująco; po lekarsku zatroskany, lecz także z zadowoleniem, ba, nie bez pewnego triumfu. „Gdyby lud bawarski i europejska opinia publiczna mogły go zobaczyć teraz, kiedy ma minę furiata — myślał lekarz — wtedy nikt by już nie wątpił, że moja diagnoza jest trafna i że król jest nieuleczalnie chory”.

Zdawało się, jakby Ludwik odgadł myśli doktora. Niespodziewanie zmienił przybraną pozę i minę. Prawdopodobnie było to dokładnie w tej chwili, kiedy postanowił odtąd bezwarunkowo panować nad sobą w obecności Guddena — nie zachowywać się już wobec niego niedbale, aż do samego końca.

— Ależ nic nie szkodzi — zauważył od niechcienia cichym, nieco ochryplym, lecz prawie pogodnym głosem. — Kraty w oknie — powiedział jeszcze i znów wzruszył ramionami. — Dlaczego by nie... Pewne urozmaicenie, wcale zabawne...

W jego wzroku zabłysnął mały złośliwy ogień. Ów zły, podstępny blask pojawiał się w oczach

Ludwika niemal zawsze, kiedy patrzył na Guddena. Główny konsyliarz jednak wydawał się go nigdy nie dostrzegać.

Ludwik zrobił kilka kroków, uskrzydłonych i niemal tanecznych, co wydało się szczególnie dziwne: po tym tłustym olbrzymim cielsku, tej gąbczastej górze mięsa trudno się było raczej spodziewać takiej gibkości.

— Jak długo ma potrwać owa kuracja? — zapytał przez ramię, chodząc śpiesznie po pokoju. Przy okazji zamaszystym aktorskim gestem zrzucił wreszcie kapelusz i płaszcz. Ciemne cywilne ubranie, które miał na sobie, niezupełnie było czyste; widniały na nim plamy, które pochodzić mogły od wina albo likieru, oraz ślady popiołu z papierosów.

— To zależy w zupełności od tego — odrzekł statecznie doktor von Gudden — czy Wasza Wysokość raczy stosować się do rad lekarzy. Co najmniej rok — zakończył z pewną surowością — będziemy musieli obserwować stan zdrowia Waszej Królewskiej Mości.

— Co najmniej rok! — powtórzył król z niemal bezgłośnym chichotem. Kontynuując swój spacer po pokoju, zaczął z ożywieniem zacierać ręce, jakby słuchał jakiejś zabawnej anegdoty. Wyraz jego płaskiej, bladej i zniszczonej twarzy stał się szelmowski, kiedy zbliżywszy się poufale do Guddena, wyrzucił z siebie szczególnie ochryplym i stłumionym głosem: — Niektórzy panowie w Monachium woleliby zapewne, żeby z jednego roku zrobiło się wiele latek... bardzo wiele latek, mnóstwo latek... W przypadku mojego brata Ottona dało się to przecież tak urządzić... Memu stryjowi Luitpoldowi — powiedział przekornie, wciąż zacierając ręce w ów zabawny sposób — bardzo by pewnie dogadzało, gdyby dziedzicznego króla, władcę z

Bożej łaski, wsadzono na resztę życia do pokoju z zakratowanymi oknami... — Uśmiechając się rozbawiony ukazywał nagie, różowoszare dziąsła. W jego ustach nie było już prawie zębów, jedynie żółte pieńki.

Doktor milczał rzucając spod krzaczastych brwi strofujące i obrażone spojrzenia na swego wesoło usposobionego pacjenta. Ten jednak nie wyczerpał jeszcze zasobu swych złośliwości. — A może — kto wie? — mówił chichocząc, takim tonem, jakby zbliżał się właśnie do niezrównanie dowcipnej pointy swych humorystycznych kombinacji. — Któż to wie? Może wcale nie zamierza się zostawić mnie tak długo przy życiu? Może dla monachijskich panów jestem niebezpieczny nawet tutaj, w pokoju z zakratowanymi oknami? Muszą być przecież napoje, z których pomocą skraca się nieco tak zwane choroby, takie choćby jak ta moja; koniec sprowadzają szybki i dyskretny. Pewne napoje i mikstury — och, słyszałem już o nich niejedno, wszak spełniają one swoją rolę w historii; Katarzyna Medycejska, na przykład, celowała podobno w ich przyrządzaniu i stosowaniu. Z pewnością także moi mili ministrowie i panowie z monachijskiego dworu znają owe tajemne recepty... Czy panu, drogi doktorze von Gudden, nie zlecono wlać mi w miarę szybko do zupy jakiegoś płynu tego rodzaju? — dopytywał Ludwik swego lekarza bez najmniejszego odcienia groźnej powagi, a raczej z żywym zainteresowaniem.

Główny konsyliarz musiał coś na to odpowiedzieć. Z największą godnością rzekł:

— Mój honor, Wasza Wysokość, nie pozwala mi podjąć tej kwestii. — Położył przy tym prawą rękę na sercu i przycisnął podbródek pokryty równo

przystrzyżoną brodą do wysokiego, sztywnego i lśniącego białego kołnierzyka koszuli.

Król wykonał drobny ruch ręką, który miał mniej więcej wyrażać: czy w ogóle warto dalej o tym mówić? — Następnie zapytał jeszcze, nagle nieco zmęczony siadając w fotelu:

— A na czym polegają instrukcje — naturalnie mam na myśli: rady moich lekarzy?

— Przede wszystkim zalecamy Waszej Królewskiej Mości spokój! — odparł Gudden podnosząc palec wskazujący. — Spokój, spokój i jeszcze raz spokój! Żadnych wzruszeń! Dużo ruchu! Regularny tryb życia! Niechże Wasza Wysokość nam zaufa — poprosił główny medyk ciepłym nagle, przejmująco drżącym głosem. — Zadaniem i szlachetną ambicją nauki jest pomagać, a nie niszczyć! — zapewnił niemal błagalnie.

Ludwik spoczywając znużony w fotelu, znużony skinał krótko głową. Jego wzrok ominął Guddena i zatrzymał się nieruchomo na ścianie. Po chwili powiedział:

— Czy zechciałby pan, najdroższy panie konsyliarzu, wyświadczyć mi tę grzeczność i zostawić mnie trochę samego? Jestem zmęczony. — Ziewnął przy tym, nie zasłaniając ust dłonią; brzydkich pieńków, które stały się widoczne, wydawał się nie wstydzić.

Gudden wahał się przez kilka sekund; potem skłonił unizenie korpus i ruszył tyłem — zgodnie z dworskim zwyczajem — w stronę drzwi.

— Pozostaję do dyspozycji Waszej Królewskiej Mości i pozwolę sobie za jakiś czas zapytać o samopoczucie Waszej Wysokości — powiedział jeszcze. Ostrożnie otworzył drzwi i zamknął je bezszelstnie za sobą.

Król patrzył za nim spod uniesionych brwi

nieruchomym wzrokiem. — Nauka! — powiedział dosyć głośno do siebie, a jego obwisłe usta wykrzywiły się z nienawiści i obrzydzenia. Potem raz jeszcze, z gorzkoszyderczym uśmiechem, jakby wymawiał imię starego, zaciekłego wroga, śmiesznego i groźnego zarazem: — Nauka!

Podniósł się z wysiłkiem, trochę posapując. Jego chód był teraz ciężki i powolny; zatoczył się nieco, kiedy dotarł do okna. Jak ktoś, komu grozi upadek, szuka jakiegoś oparcia, jakiejś podpory, tak on sięgnął do okiennej kraty. Jego duże białe ręce zacisnęły się na żelaznych sztabach. Oparł o nie czoło i wzdrygnął się przy zetknięciu z zimną wilgotnością metalu.

Deszcz padał nieprzerwanie. Spływające krople zraszały żelazną kratę, tak jak łyzy zalewają twarz.

Otulony mgłą park szumiał w deszczu.

W Górnej Bawarii często bywa brzydka pogoda. Ludwik znał te długie deszczowe dni, monotonię deszczowych tygodni. W Hohenschwangau, w Herrenchiemsee, nad Jeziorem Starnberskim. Teraz wydawało mu się, że we wszystkich tych miejscach niemal zawsze padał deszcz. Jeszcze nigdy jednak szum spadającej z nieba wody nie wydawał mu się tak dręczący, jak teraz i tutaj. Szum, plusk i szemranie w wierzchołkach drzew, na zwirowanym placu, w kałużach parkowych drózek, w rynnach deszczowych; teraz odczuwał to jako torturę, którą ledwie można było znieść.

„Gdyby choć deszcz przestał wreszcie padać!” — żalił się, a jego blada, nabrzmiata twarz z niepielegnowaną brodą i żałośnie rozwartymi oczyma poruszała się za prętami kraty niczym twarz zwierzęcia za prętami klatki. „Ah, *cette pluie! Cette pluie, toujours... C'est atroce, c'est horrible...*”

Grymas potwornego bólu padł na jego twarz niczym głęboki czarny cień przeciągającej chmury i spustoszył jej rysy.

To, co musiał przeżyć w ciągu ostatnich dni i godzin, było zbyt koszmarnie i ponad jego siły. Ponieważ zostawiono go teraz samego — samego w tym pokoju z zakratowanymi oknami — poczuł się jak niemilosierdzie wychłostany i skatowany więzień, który pozostaje w samotności swej celi ze swym obolałym ciałem i nie wie już, gdzie położyć swe członki — wszystkie są jak jeden wielki ogień — nie wie, czy ma leżeć, stać czy siedzieć — czy ma krzyczeć, przeklinać czy modlić się.

Ludwik rozchylił nieco miękkie, sinawe wargi. Najpierw wciągnął z cichym świstem powietrze — wilgotne, chłodne powietrze deszczowego dnia; świszczenie przeszło w charkot, a następnie w głęboki, jękliwy pomruk. Uwięziony król stał przy oknie i jęczał. Jego dłonie ślizgały się wzdłuż żelaznych sztab — bez przerwy w górę i w dół po tych mokrych żelaznych prętach.

Wtem przestraszył się. Nagle odniósł wrażenie, że jest obserwowany. Odwrócił się gwałtownie; w pokoju nie było nikogo. Kiedy chciał otworzyć drzwi, żeby sprawdzić, czy ktoś się za nimi ukrywa, stwierdził, że są zamknięte; nie było nawet klamki, żeby było za co szarpnąć. Możliwe, że w drzwiach, a może gdzieś z boku, w ścianie, umieszczony był tajemny judasz, przez który doktor Guden albo jakiś inny lekarz albo służący mógł śledzić każdy ruch króla. Ludwik był najzupełniej przekonany, że taki judasz istnieje, i postanowił:

„Okazę godność. Obserwują mnie. Nie urządzę szpiegom przy drzwiach widowiska, jakie sobie po mnie obiecują. Nie będzie odtąd żadnych jęków i nie będę już przyciskał czoła do żelaznej kra-

ty. Najważniejsze to zaprowadzić porządek w swoich myślach. Kłamcy i rebelianci ośmielają się twierdzić, że jestem umysłowo chory — Ja, król, *le Roy lui-même!* Co za potworna zuchwałość! Ukręcę łeb wszelkim plotkom zachowując się — na przekór tej okropnej i niewiarygodnej sytuacji, w jakiej się znajduję — jak człowiek spokojny i opanowany”.

Pełen tak dobrych i rozsądnych zamiarów król usiadł w fotelu stojącym nie opodal okna.

Lecz myśli w jego głowie nie chciały trzymać się kupy; mieszały się, wypierane przez obrazy, wyobrażenia, skojarzenia, które nie należały bynajmniej do rzeczy i tylko przeszkadzały. Na przykład przez kilka minut nie mógł się uwolnić od pewnych skojarzeń słownych, choćby takich: „Chcę mi zedrzyć z ramion czarną purpurę! Mnie, władcy — Mnie, namaszczonego po siedmiokroć księciu północy! Nigdy im się to nie uda! Jestem Rycerzem Łabędzia, jestem łabędziem. Jestem czarnym łabędziem i potężnymi uderzeniami skrzydeł wzbijam się ponad nich — ponad tę hołotę, ponad intrygantów, ponad naukę! Czarną purpurę chcą mi zedrzyć z ramion, mnie, namaszczonego po siedmiokroć...”. I te same zdania zaczynały od nowa krążyć w jego biednej głowie.

Ludwik sam zauważył, że w ten sposób nie posuwa się naprzód.

Gdyby przynajmniej ten deszcz zechciał na chwilę przestać szumieć! *Cette pluie! Cette pluie horrible!*

„Muszę się uspokoić! Muszę być zupełnie spokojny! Moje ręce nie mogą już drżeć, w moich myślach musi zapanować ład. Uspokój się, dostojny panie!” — zaklinał Ludwik samego siebie, uniesienie i błagalnie.

Wyciągnął mechanicznie mały grzebyk kie-

Thomas Mann und sein Sohn Klaus (14. 10. 1925)



„Du teilst doch, Papa, Genies haben niemals geheime Söhne, also bist du kein Genie.“

Karykatura Thomasa
i Klause Manna
(„Simplicissimus“ - 1925 v.)

szonkowy i zaczął się czesać. Jego włosy pozostały ciemne i dosyć gęste; ostatni ślad młodości urody, jego słynnego, nieodpartego wdzięku. Naturalnie również i te loki nie były już tak uwodzicielskie jak niegdyś. Straciły blask i miękkość i cofnęły się z czoła dalej niż wtedy, kiedy był jeszcze uwielbianym przez wszystkich, nadzwyczaj czarującym młodzieńcem. W każdym razie: była to *chevelure*, która mogła się jeszcze podobać i której nie powstydziliby się żaden władca. Ludwik pielęgnował ją więc z czułą troskliwością i codziennie spędzał kilka godzin z osobistym *coiffeurem* Hopsem — jednym z najbliższych przyjaciół i doradców politycznych — który układał mu włosy, mazał je, smarował pomadą i perfumował.

„Musisz być spokojny i przebiegły!” — Król przemawiał do siebie łagodnie, przesuując grzebykiem po swych lokach. „Musisz zebrać myśli; koniecznie musisz nauczyć się panować nad swą skłonnością do lekkiego roztargnienia — winien to jesteś swej nadzwyczajnej pozycji, swej olbrzymiej sławie i niezwykłemu poważaniu w świecie”.

— *Je suis le Roy!* — zawołał na głos. — Ach, gdybyż wreszcie przestało przynajmniej padać! Przestraszył się brzmienia własnego głosu; rozejrzał się lękliwie dokoła i szepnął: — Dlaczego jestem sam? Dlaczego nie ma przy mnie nikogo?

„Oto chwila — pomyślał — kiedy najbardziej potrzebuję mego wielkiego przyjaciela; kiedy tak głęboko uwielbiany mistrz jest mi naprawdę potrzebny. Ale gdzie on jest? Gdzie może być Wagner? Gdzie się podział Ryszard? — pytał siebie udręczony, i wtedy przypomniał sobie: — Naturalnie, w uroczystej godzinie oddał ducha w Wenecji. Krzyknąłem, kiedy się o tym dowiedziałem; okryłem się czarną szatą żałobną, posypałem głowę po-

piołem i płakałem przez wiele, wiele nocy, także w ciągu dnia przelewałem łzy. To było do przewidzenia — myślał z goryczą — musiało się tak stać: w chwili, kiedy naprawdę potrzebuję mego wielkiego przyjaciela, nie ma go na posterunku. Odszedł na zawsze. Miał triumfalną śmierć — śmierć zwycięzcy, uroczystą śmierć — a mnie zostawił samego, bym powoli dopełniał haniebnego żywota”. Gwałtownymi, niemal gniewnymi ruchami Ludwik rozczesywał pozostałość swej młodzieńczej urody, falujące włosy.

„Mój najukochańszy przyjaciel zawsze był wielkim egoistą. Naturalnie potrafił to tak urządzić, że on sam — zimny, daleki, nieosiągalny — bawi już wśród nieśmiertelnych, kiedy ja, tu na dole, zaszczuty jestem przez zgrają ministrów i szarlatanów nauki niczym szlachetna zwierzyna łowna. Miast jak przyjaciel pozostać blisko mnie, swego przyjaciela i króla, zatroszczył się tylko o efektowną inscenizację własnej śmierci. Trzeba mu to przyznać: umiał stworzyć dla swej śmierci najpiękniejszą dekorację, najsugestywniejsze tło. Wenezja, Canale Grande; czarna gondola; obficie płynące łzy Cosimy. Wdowa po wielkim mężu — roztropna przy całej swej rozpacz — wysyła setki depeusz: do cesarzy i królów, intendentów oper i bankierów, dziennikarzy, ambasadatorów i tenorów: Ryszard Wagner nie żyje... Słowa te obiegają Europę niczym okrzyk bóleści. Nikogo innego nie dotyczą jednak tak jak mnie. Padam rażony w głowę ciosem maczugi.

Gdyby mój jedyny ukochany mistrz widział mnie w tym niewesołym położeniu, w jakim się właśnie znajduję — może mnie nawet widzi — płakałby tylko w połowie tak, jak ja musiałem szlochać wtedy, kiedy nadeszła telegraficzna wiadomość z Wenecji. Ach, obawiam się, że jego oczy po-



zostałyby niemal zupełnie suche. Nie miał czasu oddawać się wielkiemu, świętemu uczuciu bólu — zajęty, jak to zazwyczaj bywało, reżyserią własnej sławy. Czasem obawiam się, że on pasował i należał do naszej złej, spóźnionej — o, bardzo spóźnionej — potwornie obcej wielkim świętym impulsom epoki. W zupełności potrafił pogodzić się z szykanami, intrygami i podejrzanymi machinacjami, które ona ze sobą przynosi i które mnie tak przerażają. Kiedy był już stary i przebiegły jak lis, doszedł do tego, że sam porozumiewał się z tak piekielnymi mocami jak nauka, prasa i dom Hohenzollernów — przekłeta pruska rodzina Hohenzollernów, która uzurpuje sobie, że jest czymś więcej niż ja, królewski pomazaniec, i pragnie wcielić moje prawdziwe królestwo do swego fałszywego cesarstwa — i nauka, ta wstrętna zmora stulecia, która chce teraz stłamsić we mnie technię życia. Tak, dla swej sławy żył w zgodzie z moimi wrogami; pogodził się z tą okropną nowoczesną epoką, przez którą ja ginę...

Ach, powinienem się być urodzić w innym, piękniejszym stuleciu — w jakimś *Grand Siècle!* Mój mistrz jednak, na swój przebiegły sposób, zawarł pokój z motłochem i zdradził nasze przymierze. Kiedy po raz ostatni spotkałem go w Bayreuth — ile, ile to już lat? — rokoło się wokół niego od dziennikarzy i profesorów i oczekiwano przybycia tak zwanego cesarza z Berlina. Ten przybył, żeby wysłuchać *Parsifala* — mojego *Parsifala!* Ach, co za profanacja mej świętej sztuki na tym placu jarmarcznym pełnym międzynarodowych turystów! Mistrz i ja ledwie znaleźliśmy się — ledwie poznaliśmy się jeszcze podczas tych koszmarnych dni w Bayreuth. Siedzieliśmy vis-à-vis i wpatrywaliśmy się w siebie bezradni. Wyjechałem nie obejrza-

szy *Parsifala*. Tak samotny jak wtedy nie byłem jeszcze nigdy, a może jestem znowu dopiero dzisiaj. Czarna fala bólu zalała we mnie i wypłukała coś, co było niesamowicie wielkie i niesamowicie słodkie. Jestem zgubiony, biada mi, jestem zgubiony! Wtedy nie kochałem już mego mistrza”.

Tej myśli: „Wtedy nie kochałem już mego mistrza!” Ludwik przeląkł się tak mocno, że nie wytrzymał dłużej w fotelu i zerwał się z miejsca. Znowu biegał po pokoju i — zapominając, że prawdopodobnie jest obserwowany przez judasza — bił zrozpaczony obydwoma pięściami w czoło.

— Wtedy nie kochałem już mego mistrza! — jęknął głośno, a myśli w jego udręczonej głowie znowu zaczęły pracować. „Jakie to straszne, do czego się teraz przed sobą przyznaję! Miałem tylko jedną miłość w życiu, a nie okazałem się dość silny, aby pozostać jej wierny. Wypędziłem Wagnera z mego serca; dlatego jest tam tak pusto, i ta pustka boli. Ale czy w tym, że musiałem go wypędzić, nie było także jego winy? Przyszedł do mnie jako człowiek szukający pomocy, jako żebrak; obysypałem go swoją wspaniałomyślnością. Dla niego znosiłem to, że lud szydził ze mnie w mojej własnej stolicy. Śpiewano bezwstydną piosenki wysmiewające jego i mnie. Jakże oni go nazywali wtedy w Monachium — jakież mu nadali przezwisko? Lolus... tak: Lolus...”

Król, mimo całego swego bólu, zachichotał histerycznie na wspomnienie tego niesmacznego określenia, które w czasie, kiedy Ryszard Wagner cieszył się jego największą łaską, popularne było na monachijskich ulicach. Lolus: ten złośliwy i głupi przydomek, którym chciano dotknąć jednocześnie i króla, i jego ambitnego faworyta, stanowił zuchwałą aluzję do historycznego skandalu w rodzinie Wit-

telsbachów, a mianowicie do słynnego romansu króla Ludwika I z hiszpańską tancerką Lolą Montez... Bawarski monarcha nadał pięknej cudzoziemce tytuł „hrabiny von Landsfeld” i zrzekł się dla niej tronu. Spłowiata sensacje, dawno przebrzmiała plotka: kiedy wnuk w tak prowokacyjny sposób zaczął protegować ekscentrycznego kompozytora, który tylko rosił długi, tego wysoce podejrzanego Wagnera, *aventure* dziadka odgrzana została przez kawiarnianych bywalców i dziennikarzy, plotkarki i uliczników.

„Loluś”: teraz, tyle lat później — Wagner już nie żył, a Ludwik II znajdował się w pokoju z zakratowanymi oknami — król zatrzęsł się złośliwym i nieco błazeńskim urywanym śmiechem, ponieważ przypomniało mu się znowu to głupie i podle przezwisko.

„Ileż zniewag musiałem ścierpieć przez Wagnera” — taka była jego gorzka i drażniąca myśl. „Pisma satyryczne ośmielały się drwić ze mnie; w teatrze dworskim syczano na mnie, kiedy wchodziłem do swej loży, a to syczenie odnosiło się do niego, do mojej przyjaźni, do mojej wierności wobec niego. A on mnie w podzięce zdradził. Zdradził mnie dla Cosimy, dla Bayreuth, dla swej sławy; poświęcił mnie dla swej monstrualnej, bluźnierczej ambicji. Tyle niewypowiedzianych krzywd mi wyrządził — a ja byłem przecież nie tylko tym, który go najbardziej kochał — najbardziej ze wszystkich, wiem o tym! — byłem także jego królem!” — *Je suis le Roy!* — krzyknął więzień; wyprężył się i z powrotem zapadł w głąb siebie.

Jego twarz o dużych, nabrzmiałych białych policzkach, obwisłych ustach zastygła w grymasie pychy, gdy tymczasem on rozmyślał dalej: „Naturalnie musiałem się od niego całkowicie odsunąć i

wymazać jego imię z mego serca, ponieważ tak okrutnie mnie zdradził. Czy miałem biegać za nim jak nieszczęśliwa kochanka? *Je suis le Roy*, jestem namaszczonego następcą pięknych wielkich panów z Wersalu. Bóg Wszechmogący powierzył mi bardzo wielką władzę. I choć rodzina Hohenzollernów próbowała mi wydrzeć część mojego blasku, wciąż jeszcze jestem jednym z najpotężniejszych władców na ziemi, wyglądem, charakterem i pozycją zadziwiająco podobny do dostojnego Ludwika XIV. Nie zrzekam się swego dziedzicznego tronu i swej rezydencji dla jakiejś Loli albo Lolusia — nikt chyba nie posądza mnie o taką słabość! Może wcześniej brałem czasami coś takiego pod rozwagę, lecz bardzo szybko przewyciężyłem te pokusy... Miałem do roboty coś innego, niż boleć nad stratą Wagnera, wielkiego samoluba i przeniwiercy, i narzucać się mu. Moją misją było pokazać i dowieść światu świetności mego królestwa, musiałem postawić własnej wielkości nieśmiertelny pomnik. Musiałem wznosić pałace i budować w parkach marmurowe schody, i budować groty, przez które mógłbym przepływać czółnem w różowosrebrnym półmroku bengalskich ogni — rozkoszując się sam w przystrojonej łodzi.

Gdyż naturalnie zawsze byłem sam — myślał dumny i zatroskany król Ludwik. — Księżę północy nie zna żadnej wspólnoty. Kiedy szuka przyjaciół, wtedy, prawdę mówiąc, zmuszony jest zstąpić na małą chwilkę ze swej lodowatej góry... Niekiedy szukałem przyjaciół. Nie zawsze miejsce obok mnie było puste, w czółnie albo w złotej karecie, albo w łóżku, pod szerokim aksamitnym baldachimem. Czasem był blisko mnie jakiś beniaminek, jakiś chłopiec z pięknymi włosami i pięknymi oczyma. Lecz musiałem ich wszystkich utracić — co praw-

da nie miałem także ochoty ich zatrzymywać... Jeden z nich... spośród nich wszystkich może jeden byłby godny pozostać przy mnie. Lubilem przyglądać się jego ruchom, kiedy grał na scenie lub kiedy przystępował do mnie, żeby dzielić moją samotność. Joseph Kainz... tego pamiętam jeszcze doskonale. Miał metaliczny głos i niesamowicie błyszczący wzrok. Cechowały go wielka siła i wielki urok. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, był Romeem. Zaledwie go jednak dotknąłem mą miłością — tak jak magicy dotykają swą czarodziejską różdżką przedmiotów i zmieniają je — stał się Hamletem. Gdy dzięki spotkaniu z mym bezgranicznym uczuciem dojrzał i stał się sobą, nie potrzebował mnie już; odszedł na zawsze jak inni — jak wszyscy inni.

Musiałem ich wszystkich utracić. Nie chciałem zatrzymać żadnego z nich. Sam w teatrze i w operze, sam przy stole i w sypialni. Zetknięcie z ludźmi bruka. Ludzie to motłoch. Księżę północy przedkłada samotność — jakże straszliwie jednak przez nią cierpiał!... Czasami odwiedzałem lub podejmowałem mych księżących krewnych, moją prawdziwą narzeczoną — mnie przyrzeczoną! mnie przeznaczoną! — choć powiadają, że jest małżonką cesarza Austrii — Elżbietę, jedyną równą mnie; moją siostrę w godności, moją siostrę w bólu. Lecz ona zawsze bawiła u mnie raczej krótko. Życie Elżbiety było niespokojne i pełne melancholii, tak jak moje. Moja dostojna siostra zwykła wiele podróżować; czasem przysyłała mi wieści znad jakiegoś północnego morza — listy w bardzo pięknych rymowanych wersach — i nazywała siebie mewą, mnie natomiast orłem na swym gnieździe. Ale potem niespodziewanie zjawiała się z krótką wizytą. Niepocieszonymi ustami dotykała mego niepocieszonego czoła. Składaliśmy sobie nawzajem głęboki

ukłon, z pełnym szacunkiem dla godności i smutku drugiego. Po pocałunku w czoło i ukłonie — szlachetnym rytuale naszej nie mającej się nigdy spełnić świętej miłości — nie pozostawało nam już wiele zajęć. Ona unosiła swą bogato haftowaną suknię, ja unosiłem poły purpurowego płaszcza i rozstawaliśmy się. Żałośnie wołaliśmy jeszcze do siebie: za rok, siostró — za rok, bracie, zobaczymy się znowu!

Księżę północy poświęcony był samotności jak zakonnica służbie Panu.

Widok i zapach ludzi raziły mnie. Nawet światło dzienne sprawiało przeważnie ból moim oczom. Wołałem noc. Moje serce należało do najciemniejszej godziny nocy, godziny *Minuit*, kiedy ludzie milczą, a studnie i drzewa odzyskują mowę. Mój mistrz, który zmarł w Wenecji, opiewał noc jak nikt — lecz tylko po to, żeby ją w końcu jednak zdradzić dla dnia, dla oślepiającego dnia swej sławy, swej ziemsko nietrwałej kariery.

Ja nie zdradzę nocy. Kocham ją coraz bardziej, coraz żarliwiej, ze stale rosnącą tkliwością — tak iż dzień stał się już dla mnie niemal nieznośną udręką.

Kto znał mnie tylko w dzień, ten nie wie o mnie nic. Dopiero kiedy wybijała *Minuit*, moja ukochana godzina, wyrastały mi skrzydła. Stawałem się czarnym łabędziem, rozpościerałem potężne skrzydła i wznosiłem się ponad mój kraj. Roniłem łzy nad moim biednym krajem — biednym, bo zamieszkałym przez śmiertelnych, niewiedzących i brzydkich ludzi — a następnie opuszczałem się na wody jednego z moich pięknych jezior. Pieśń fal brzmi bardzo pocieszająco dla czarnego, płaczącego królewskiego łabędzia. Kocham wodę, tak jak ko-

cham noc. Fale tworzą taką samą muzykę jak noc: muzykę *Złota Renu*, muzykę *Tristana*...”

— Ale nie ten deszcz! — krzyknął król, który z przerażeniem uświadomił sobie, że jego myśli biegną peryferyjnymi i splątanymi ścieżkami; winą za to obarczał monotony, usypiający i zarazem denerwujący szum deszczu.

„Masz ci los, nie mogę uporządkować myśli — stwierdził zrozpaczony, wpatrując się w mokre, czarne żelazne kraty przed otwartym oknem. — Lekarze mają chyba rację twierdząc, że mam pomieszane w głowie. Lecz jaki śmiertelnik wytrzyma to, co ja musiałem znieść w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin — że wspomnę tylko te ostatnie dwadzieścia cztery godziny? Ta straszliwa noc w Hohenschwangau; piekielna jazda powozem... I ciągle ten deszcz! *Cette pluie insupportable!*.. Poza tym od pewnego czasu brałem chyba także trochę za dużo środków nasennych... Moja biedna głowa jest spustoszona przez medykamenty, które mogły być trujące... Po lekarzach — i tych, którzy przekupują moich lekarzy — można by się chyba spodziewać, że potrafiliby powoli i niepostrzeżenie zgładzić namaszczonego króla ohydnie spreparowanymi środkami nasennymi...

Muszę uporządkować myśli.

Ponieważ mam decydować o swej przyszłości, koniecznie powinienem dokładnie poznać swoją przeszłość; żebym jasno i wyraźnie zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, co się stało.

Ale czy nie jest absurdem wymieniać w myśli słowo przyszłość? Jakby coś, co zasługuje na to miano, mogło jeszcze w ogóle istnieć dla mnie — który jestem u kresu, u kresu, u kresu. *C'est la fin. Voila la fin d'un Roy. Voila la fin.*

Moją przyszłością — śmierć.

Moją nadzieją — spokój.

Ach, czyż ktoś się domyśla, jak łaknie go moje serce! Wagner może by to zrozumiał. Elżbieta zapewne to rozumie; ale ona tak wiele podróżuje — gdzie też ona teraz bawi?

Więc zrozumże mnie Ty, Boże — bo czuję się opuszczony przez ludzi! Zadaj sobie ten trud i zajrzyj do mego bezradnego serca! Spójrz, jak bardzo pragnę zgasnąć! Wysłuchaj mnie, Panie, domagam się unicestwienia!

Skołatany tyłoma przygodami, tysiącokrotnie zawiedziony, padający ze zmęczenia, doszedłem do owego miejsca, gdzie żadną miarą nie da się już nic uczynić. Czekam jeszcze tylko na ostatni cios — Boże, mój Panie, racz nie kazać mi już długo czekać! Zechciej także rozważyć, Boże Wszechmogący, że nie jestem pierwszym lepszym, nie zaliczam się bynajmniej do pospólstwa — *je suis le Roy*, i przywykłem nie żebrać, lecz rozkazywać.

Ach, co ja mówię, Panie, Boże mój! Wszak wiesz, że połknąłem za dużo pigułek nasennych i wymęczyła mnie długa jazda powozem; przebac, proszę że się tak płaczę. Wcale nie jestem królem. Ze wszystkich nędzarzy na tej ziemi żaden nie jest tak nędzny jak ja. Wszystko robiłem źle. Całe moje życie było jedną wielką pomyłką. Żałuję każdego dnia, który przeżyłem. Słyszysz mnie, Boże, mój Panie? Proszę, wysłuchaj mnie! Ja żałuję!

Moje ciało było słabe i popełniałem ohydne grzechy. Kochałem, jak kochać nie wolno: tego przede wszystkim żałuję. Wciąż dokładałem wszelkich starań, by trzymać na wodzy zabronione skłonności, powściągać złe żądze. Sam wydawałem sobie rozkazy: Powstrzymaj się od tej grzesznej, tak przeciwnej naturze miłości! — rozkazywałem sobie codziennie i te upomnienia do siebie samego skła-

dałem nawet na piśmie, żeby nadać im jeszcze większą wagę. Wszystko na nic; grzeszyłem na nowo — Ja, król, występowałem przeciw królewskiemu prawu — które jest także Twoim prawem, Panie, Boże mój! Lecz Ty wiesz przecież, Wszechpotężny, jak silny jest szatan w naszym biednym ciele — które było prochem i w proch się obróci.

Żałuję, Panie. Żadnej innej myśli nie mogę i nie chcę się już uchwycić, prócz tej jednej: że żałuję.

Jeśli jest cokolwiek, co mogę przytoczyć na swoje usprawiedliwienie, to tylko to, że bardzo cierpiałem. Ty mnie przecież zawsze obserwowałeś, Panie, i nigdy nie spuściłeś mnie z oczu; widziałeś — upadłem na samo dno otchłani cierpienia.

Teraz jednak zabierz mnie do siebie, Boże łaski, i zbaw mnie od złego. Albowiem dla mnie złem jest samo życie, samo istnienie, to, że człowiek musi oddychać, musi grzeszyć. Uwolnij mnie od tej nazbyt wielkiej udręki.

Moją nadzieją — śmierć.

Wszak wiesz o tym, Wszechwiedzący; ostatniej nocy w Hohenschwangau — zanim ta zgraja lekarzy i ministrów zabrała mnie ze sobą jako więźnia — chciałem targnąć się na swoje życie — lecz cóż można popełnić wbrew Twojej woli, Wszechobecny? Poprosiłem tak niezawodnego zawyczał *coiffeura* Hoppego, żeby mi dostarczył odrobinę cyjankali; ale mistrz grzebienia stwierdził, że nie ma w domu cyjankali. Ładny mi pałac królewski, nie ma co! Pełen skarbów i kosztowności po sam dach, a nie ma w zapasie małej dawki trucizny, niezbędnej, by namaszczoneму panu domu zapewnić spokój — spokój, którego tak łaknie.

Rozkazałem również swemu służącemu, pocziwemu Weberowi, żeby mi przyniósł klucze od

wieży; zamierzałem rzucić się z wysokiej wieży w dół, byłaby to szybka i względnie bezbolesna śmierć. Nie można było znaleźć klucza. Nieuczciwy i niedbały personel zgubił klucz.

Potem zażądałem jeszcze — by nie zaniedbać żadnego środka — od swojej straży przybocznej, żeby mnie zastrzeliła. Głupi żołnierz wyprężył się na baczność i ani drgnął.

Udaremniłeś wszystkie moje próby, niepojęty Boże! Teraz jednak, jak się wydaje, udało mi się sprawić, że Ty, Wszechmiłosierny, nie będziesz mnie dłużej dręczył. Zabierz do siebie mą umęczoną duszę!”.

Król złożył ręce do modlitwy. Zamierzał właśnie, zsuwając się z fotela, opaść na kolana, żeby na klęczkach wybłagać u Boga swą śmierć. Zanim jednak jego kolana dotknęły posadzki, w jego udręczonej głowie zwyciężyło znowu inne odczucie: „Musisz wziąć się w garść, wszak jesteś królem. Jesteś następcą i prawowitym dziedzicem Króla Słońce, pięknego wielkiego pana z Wersalu. Twoje pałace w Bawarii są co najmniej równie wspaniałe, jak pałace twego dostojnego francuskiego poprzednika. Wielki władca nie klęka, by błagać Boga o śmierć — jemu to po prostu nie przystoi, i żadną miarą nie może sobie na coś takiego pozwolić. Zresztą śmierć nie jest wcale moją jedyną przyszłością i nadzieją. Przeciwnie, mam całkiem inne możliwości i zupełnie odmienne nadzieje. Zaraz — już za kilka minut — wszystko sobie przemyślę i z jasnym umysłem we wszystkim się rozpatrzę. Muszę tylko najpierw uporządkować trochę swoje myśli i przypomnieć sobie dokładnie: dlaczego, jakim sposobem, w jakich okolicznościach znalazłem się w tej niedorzecznej sytuacji, w tej niestosownej i — jak kto chce — nawet śmiesznej niewoli”.

Ludwik wyprostował się; z powrotem podszedł do okna. „Popatrz, krata! — pomyślał przekornie. — Dlaczego by nie? Mnie to nie przeszkadza. Może rzeczywiście założono ją tutaj jedynie ze względów dekoracyjnych — czasami nawet medyk mówi prawdę. Mokra krata, mokra od deszczu — od jakiegoś czasu pada dosyć mocno. Proszę bardzo, niech sobie pada. W lodenowym płaszczu można mimo to pospacerować. Mam nawet nieprzewartę ochotę na przechadzkę. Nad jeziorem są piękne ścieżki. Doktor von Gudden — przedstawiciel nauki — mógłby mi towarzyszyć... Uroczą wizją: z głównym konsyliarzem, sami, nad wodą...

Nauka głosi, że jestem chory i muszę się poddać kuracji, by wrócić do zdrowia. Ja, król, jestem podobno umysłowo chory i niezdolny już sprawować swój wysoki urząd — ośmiela się twierdzić nauka. Dzielny stryj Luitpold ma zostać księciem regentem. Tak zwany cesarz z Berlina — mówi mi — dał swą zgodę na moje ubezwłasnowolnienie; jak sprytnie i zgrabnie nawzajem się wspomagają. Czy książe Bismarck także sprzymierzył się z tą szajką? Chyba jednak niezupełnie. Książe mnie zna, ceni jako polityka — potrzebował mnie przecież, anno 71, żeby przeprowadzić swe wspaniałe „założenie Rzeszy”; książe, który wydaje się posiadać pewne poczucie monarszej godności, nie pozwolił sobie tak szybko wmówić, że Ja, król wszystkich Bawarczyków, jestem umysłowo chory. Bismarck ma trzeźwy umysł. Rada, jakiej mi jeszcze ostatnio telegraficznie udzielił, nie była może wcale taka zła — tyle tylko, że wskutek nadmiernej konsumpcji środków nasennych stan mego zdrowia już wtedy był, niestety, zbyt fatalny, ażebym mógł się do niej zastosować. Książe uważał, że aby rozproszyć wszelkie nikczemne plotki wokół mej o-

soby, powinienem pojechać szybko do Monachium, pokazać się ludowi i doń przemówić. Uciążliwe bóle głowy i mój wstręt do pospólstwa, do odoru motłochu, przeszkodziły mi w realizacji tego planu.

Lecz moje myśli znów odbiegają już nieco od tematu (Ach ten deszcz! *Cette pluie encor!*). Nie chodzi o pana von Bismarcka i jego bardziej czy mniej doskonale pomysły, ale o to, żeby wykryć, jakich pretekstów użyła ta nikczemna, sceptyczna, przeklęta nauka, żeby Mnie, władcy, wyrządzić taką niesprawiedliwość i zniewagę. Oszczędzono sobie przecież nawet trudu zbadania mnie. Istnieje wystarczająco dużo poszlak przeciwko mnie — twierdzono — poszlak, jak przeciwko jakiemuś przestępcy!

Czy powinienem się obawiać, że nauka wie o moich prawdziwych grzechach, o nikczemnych słabościach mego ciała? Ale kto mógł mnie zdradzić? Ci, z którymi razem występnie grzeszyłem, przyrzekli mi dyskrecję, a są to bez wyjątku zacni, oddani mi młodzi ludzie. A może nauka potrafi czytać w moich myślach, w moim sercu? Wyczytać z mych pełnych bóleści oczu straszliwy żal nad upadkiem ciała? Co za absurd! Do tego ta przeklęta nauka nie doszła — nigdy do tego nie dojdzie! Ze swym wielkim, ohydny grzechem jestem zupełnie sam, albo mam tylko Boga na świadka, i naturalnie tych, którzy byli moimi partnerami w tej zdrożnej zabawie... Zresztą ślubuję sobie oto z całą powagą, że odtąd będę dawał opór diabelskim skłonnościom. Niech tylko miłość duchowa będzie mi jeszcze dozwolona, fizyczna zaś surowo wzbroniona. Należy także całkowicie skończyć z całowaniem: Ja, król, rozkazuję to sobie, namaszczoneму władcy. Nie spojrzę już na żadnego chłopca stajenego, żadnego szwoleżera; pożądlive spojrzenia są

absolutnie niegodne człowieka z moją pozycją. *Adoration à Dieu et la Sainte religion! Obéissance absolue au Roy et à sa volonté sacrée!* Ja jestem królem!

...Gdyby nauka zarzucała mi te wykroczenia — a są to ciężkie wykroczenia! przebac mi, Boże, mój Panie! — musiałbym pełen wstydu zamilknąć. Tymczasem to, z czego mi rzeczywiście czyni zarzuty, to same błahostki.

Zażądałem od służących, żeby zjawiali się u mnie wyłącznie z czarną maską na twarzy; było to chyba co najmniej oczywiste. Jakże miałem znosić widok ich ordynarnych ludzkich twarzy? Albo napawał mnie wstrętem, albo budził we mnie złe żądze; jedno i drugie jest niezdrowe... I czy nie było to jedynie rzeczą naturalną, że wymierzałem służącym pewne kary, jeśli okazywali się nieposłuszni i łatwo zapominali, i jeśli byli zbyt słabi, żeby czuwać ze mną w nocy przez kilka godzin? Tak, kazałem ich chłostać i torturować; takie było moje prawo, gdyż jestem królem. Czasami z trudem przychodziło mi wydawać takie zarządzenia; wśród tych, których musiałem kazać wychłostać, trafiał się czasem człowiek, którego widok nie był mi niemiły, a nawet wręcz nadzwyczaj miły. Nie byłoby mi przykro dowiedzieć się jeszcze teraz, że niektóre z moich najsurowszych wyroków przeciwko pewnym osobom nie zostały wykonane...

Nauka ma czelność tłumaczyć sprawiedliwą surowość, jaką kierowałem się w stosunku do własnej służby, jako oznakę umysłowego pomieszania. Śmie także zarzucać mi, że w ostatnim czasie wycofałem się nieco z niewymownie nudnych spraw publicznych, państwowych nonsensów. Dlaczego jednak miałem przyjmować ministrów, którzy są brzydki i, jak wiem, potajemnie przeciwko mnie

intrygują i wygłaszają mi nudne, najczęściej kłamliwe, często także zupełnie niezrozumiałe referaty? Dlaczego miałem jeździć do stolicy, do Monachium, gdzie w ciasnych, cuchnących uliczkach tłoczy się pospółstwo? Miałem do roboty coś innego. Jestem władcą pałaców. Kazałem sobie wznosić nieśmiertelne pomniki i musiałem żyć w swych wielu pałacach tak, jak przystoi namaszczoneму królowi, dostojnemu przyjacielowi sztuk pięknych: marząc wersami wielkich poetów, marząc melodiami mistrzów — nieśmiertelnymi melodiami mego mistrza... Czego miałem jeszcze szukać w mieście? Nawet teatr nie sprawiał mi już przyjemności. Od kiedy straciłem Wagnera, od kiedy nie mogłem już oglądać Josepha Kainza jako Romea lub Mortimera, nie już mnie nie ciągnęło do teatru. Kainz — ambitny prawie tak jak Wagner i niemal taki sam egoista jak tamten — opuścił mą stolicę, żeby w większych miastach grać komedie obcemu ludowi... Nie, w Monachium nie mam już zupełnie czego szukać... Swojsko czuję się jedynie w pięknej samotności moich pałaców... Jeśli zostawią mi trochę czasu, muszę sobie zbudować jeszcze kilka: to nawet bardzo ważne i konieczne... Na przykład cudownie położone ruiny zamku Falkenstein powinny zostać odnowione i zamienione we wspaniałą pałac...

Naturalnie wiem, w czym rzecz: zuchwała, bezbożna nauka twierdzi, że mój zapal budowniczy ma także, a może przede wszystkim, charakter chorobliwy. Co za niegodziwe oszczerstwo! Jakby wzniesienie pałaców jako pomników własnej sławy nie było naturalnym, aprobowanym przez Boga i praktykowanym zresztą od tysiącleci zajęciem wszystkich monarchów! Jeśli ja jestem wariatem, ponieważ kocham pałace, to byłby nim także mój wielki poprzednik i nieśmiertelny kuzyn, boski Louis...

francuski Król Słońce, Ludwik XIV. Czy tego wielkiego meża mogły powstrzymać od realizacji jego pięknych planów małosłowne wątpliwości natury finansowej?

Wciąż gładzili mi o pieniądzech! Jak ja nie nawidzę tego słowa — jak nim pogardzam: pieniądze... Są mi niemal tak wstrętne jak słowo „nauka”; obydwie: pieniądze i nauka rządzą podobno, jak mnie zapewniają, naszym nędznym, pozbawionym Boga stuleciem.

Kiedy byłem jeszcze chłopcem, mój świętej pamięci ojciec dręczył mnie i upokarzał przyznając nam — memu biednemu bratu Ottonowi i mnie — ledwie kilka guldenów kieszonkowego na tydzień. Nigdy nie mogliśmy sobie kupić tego, co nam się podobało; byliśmy biedni niczym dzieci żebraków — my, książęta! Pamiętam jeszcze, jak mój biedny brat Otto biegał do pewnego dentysty, który płacił za piękne, zdrowe zęby. Mój biedny brat gotów był poświęcić obydwie rzędy swych białych zębów, żeby tylko dostać te parę guldenów: do takiego stanu doprowadził nas, biedne książęta, srogi ojciec — Jego Wysokość Król Maksymilian Bawarski, przeklęta niech będzie jego pamięć.

Umarł — siedziałem przez kilka minut sam przy jego łóżku, kiedy konał, i wpatrywałem się w niego, i nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. On nie żył, a ja byłem młodym królem, i nagle miałem wszystko, czego pożądało moje śmiałe, nie rozpieszczane serce.

Tak myślałem wtedy. Ach, jakże się myliłem! Kiedy potrzebowałem trochę pieniędzy dla Ryszarda Wagnera, zjawiali się ministrowie i strofowali mnie, i nawet gazety miały czelność na mnie napadać. Ja ratowałem tego jedynego wielkiego geniusza epoki od nędzy i upadku, zapewniałem mu

miejsce w świecie, na które zasługiwał — a ci urzędnicy wyliczali mi: budżet przekroczony, wydane o dziesięć tysięcy guldenów za dużo — o tfu, tfu, tfu, aż mnie trzęsie, kiedy o tym pomyślę...

Jeszcze gorzej było, kiedy zrozumiałem, co jest moją prawdziwą misją: b u d o w a ć; kiedy według mego planu i królewskiego smaku powstały piękne pałace Linderhof, Neuschwanstein, Herrenchiemsee. Nudzili, denerwowali, upokarzali, dręczyli tą pustą gadaniną: pieniądze pieniądze pieniądze... długi długi długi... narobiłeś siedem i pół miliona długów — nie tak dawno temu musiałem wysłuchać tego znowu. Siedem i pół miliona długów — przypadkowo zapamiętałem tę liczbę. Ale co mnie obchodzą liczby? *Je suis le Roy!*

To prawda: pod nędznym pretekstem nauka dopuściła się okropnego przestępstwa na królewskim majestacie! Gdybym nie wiedział, że nadejdzie dzień zapłaty i że Pan, mój Bóg, odprawi swój Sąd Ostateczny, musiałbym zwątpić, musiałbym stracić wiarę w sprawiedliwy porządek świata”.

Deszcz szumiał. Drzewa w parku przyjmowały cierpliwie spływające ciężko i obficie lży niskowiszącego nieba.

Deszcz towarzyszył głośnym szumem niemu i chaotycznemu, skruszonemu i buntownicznemu monologowi uwiecznionego króla.

Przez judasza, umieszczonego w drzwiach w dyskretnym miejscu, pielęgniarz obserwował z polecenia głównego konsyliarza von Guddena każdy ruch Jego Królewskiej Mości.

Widział, jak Jego Wysokość stał przez dłuższy czas nieruchomy i wyprostowany przy oknie. Jedyną oznaką wzburzenia, jaką pielęgniarz zauważył u swego królewskiego więźnia, było to, że Ludwik zacisnął obie dłonie w pięści. Twarz króla — duże,

szaroblade, nabrzmiące oblicze z głębokimi, ciemnymi cieniami na zamkniętych powiekach — było nieruchome jak twarz zahipnotyzowanego.

Ludwik, stojąc bez ruchu przy zakratowanym oknie, przeżywał jeszcze raz — który to już raz? — dramat ostatnich dni, katastrofę dopiero co minionych dwudziestu czterech godzin.

Kiedy komisja dworska z Monachium pod przewodnictwem hrabiego Holnsteina i z listem uwierzytelniającym od księcia Luitpolda zjawiała się po raz pierwszy przed pałacem Hohenschwangau, ażeby pojmać Jego Wysokość jako umysłowo chorego — musiała się wycofać wobec ostrego sprzeciwu ludności. Dowódca żandarmerii z Hohenschwangau podarł zapieczętowany list księcia Luitpolda i powiedział hrabiemu Holnsteinowi prosto w twarz: „Znam tylko jeden rozkaz — rozkaz, który pochodzi od Jego Królewskiej Mości”. — Ludwik przy zakratowanym oknie raz jeszcze doznał uczucia triumfu, które, kiedy przekazano mu tę wiadomość, poruszyło go niemal do łez. Zarządca Hohenschwangau miał nawet zamiar kazać aresztować komisję dworską z Monachium jako rebeliantów przeciw monarsze; Ludwik rozkoszował się tym wspomnieniem. To był dowód na to, że lud go kocha. Prości ludzie są z a nim, mają instynkt prawdziwej wielkości. Nie ma dwóch zdań, lud stoi po stronie swego dziedzicznego władcy — przeciwko dworskim i ministerialnym intrygantom.

Ma się rozumieć, że zjawiwszy się po raz drugi, pełnomocnicy księcia Luitpolda byli skuteczniejsi, — ach, byli aż nazbyt skuteczni!

Ostatnia noc w pałacu Hohenschwangau, owe ostatnie godziny, nim król w towarzystwie doktora Gaddena musiał wsiąść do czarnego zamkniętego powozu; Ludwik — przywołując przy zakratowanym

oknie wspomnienia — przygląda się finałowi własnej tragedii niby piątemu aktowi tragedii Schillera. Lecz żaden z bohaterów dramatów ulubionego klasyka nie był otoczony taką pustką jak Ludwik w owych godzinach. Odebrano mu wszystkich — nawet ostatniego rycerza i wiernego towarzysza, jaki mu pozostał, młodego adiutanta przybocznego, hrabiego Dürckheima: nie znające litości monachijskie Ministerstwo Wojny odwołało go od królewskiego boku.

Jedynym jego towarzyszem był szumiący nieustannie deszcz — *cette pluie morne, cette pluie cruelle* — oraz obydwaj lokaje, Mayer i Alfons Weber. Nawet stangretowi — pocziwemu i oddanemu Osterholzerowi — nie wolno już było zbliżać się do monarchy, obawiano się zapewne, że król mógłby przy jego pomocy zbiec do Austrii.

Za to jaka to była piękna scena, gdy uwięziony władca rozdawał swe ostatnie mienie między wiernych służących: Ludwik, cały we wspomnieniach, upajał się raz jeszcze tragicznym pięknem tego szlachetnego czynu, który przypominał wzruszające pożegnanie skazanej na śmierć Marii Stuart ze swymi pokojówkami. Alfons Weber otrzymał tysiąc dwieście marek gotówką, brylantową agrafę oraz czek na dwadzieścia pięć tysięcy marek, co do którego zresztą nie było pewności, czy kiedykolwiek będzie go można zrealizować. Król przekazał także lokajowi swój modlitewnik, mówiąc przy tym: „Módl się za mnie! Ja nie potrzebuję już niczego!” — jakby trzeba było namawiać Webera do przyjęcia darów w aż tak uroczystych słowach, gdy tymczasem służący nie zwlekał ani chwili z akceptacją tych rzetelnie zasłużonych upominków.

Dopełniwszy tej pięknej ceremonii, Ludwik zaczął pić na przemian w dość dużych ilościach

czerwone wino i koniak; jeszcze teraz, przypominając to sobie, miał wrażenie, że czuje na języku ostry smak alkoholu. Pałac, pijąc i deklamując wiersze miotał się po jadalni. Takim zastał go główny medyk von Gudden, kiedy zjawił się, by poprosić króla do zamkniętego powozu.

„Wasza Wysokość, to najsmutniejsze zadanie mego życia!” — przemówił obłudnie doktor.

Ludwik ujrzał przed sobą zniechęconą gębę uczonego tak wyraźnie, że uniósł pięść, by w nią uderzyć: pielęgniarz przy judaszu skonstatował raptowny gest swego pacjenta z lekkim przestraszeniem.

Królowi udało się jednak odpędzić od siebie niczym senny koszmar obraz Guddena, wspomnienie jego przymilnego głosu. Otworzył szeroko oczy, przeciągnął się i postanowił: „Muszę sobie jasno uświadomić, w jaki sposób uwolnię się najprędzej od tego szatańskiego potwora.

Muszę być przebiegły — mówił do siebie król Ludwik. — Muszę postępować przebiegle i podstępnie. Sądzę zapewne, że pogodzę się z tą haniebną niewolą jak mój biedny brat Otto? Mylą się. Hi, hi — zachichotał król, nagle pełen najlepszych nadziei, w radosnym nastroju i niemal rozbawiony na myśl o komplikacjach, jakie mogłyby wyniknąć z walki pomiędzy nim a panem von Guddenem — hi, hi, hi, bardzo się mylą.

W moim przypadku istnieją tylko dwie możliwości — rozważał. — Obydwie oznaczają blamaż dla nauki i kłopot dla mojego drogiego stryja, księcia Luitpolda. Albo umrę — co byłoby dla mnie wielką ulgą, piękną przysługą, a dla całej Europy pewną sensacją — a więc umrę jako ofiara mych dręczycieli, księcia Luitpolda i nauki, albo przekształcę swoje prawdziwe królestwo w k r ó l e s t w o

L u d u, w którym żaden minister ani żaden landtag nie będą mieli już nic do powiedzenia.

Lud mnie kocha, wiem, że mój lud mnie kocha. Stara oberżystka, która podczas tej okropnej jazdy powozem — na tej drodze krzyżowej — z pałacu Hohenschwangau do pałacu Berg — podała mi szklanekę wody, zacna stara oberżystka w miejscowości Seeshaupt szepnęła do mnie, że chłopci z Górnej Bawarii uzbroili się we flinty i kosy, żeby pomóc mnie, swemu królowi — żeby mnie uwolnić. W lasach po drugiej stronie Jeziora Starnberskiego zebrało się podobno wielu uzbrojonych chłopów. Mogłbym z nimi uciec w góry, żeby założyć tam swoje prawdziwe królestwo. Jezioro jest wąskie, na drugi brzeg nie jest wcale tak daleko, jestem całkiem dobrym pływakiem — wciąż jeszcze jestem silnym mężczyzną, choć znaczne nadużywanie środków nasennych i wiele wzruszeń nadwreżyło nieco moje siły. Muszę wszystko postawić na jedną kartę: albo śmierć — albo prawdziwe królestwo...

„Muszę ułożyć plan... Mam już plan...” Król przeszedł od okna do stołu na środku pokoju. Poruszył stojącym na stole dzwonkiem. Pielęgniarz, który czatował na zewnątrz, natychmiast otworzył drzwi. Ukłonił się nisko i zapytał, jakie Jego Królewska Mość ma życzenie. W oczach Ludwika pojawiły się złośliwe, dzikie, a przy tym wesołe błyski, kiedy bardzo łagodnym głosem powiedział: — Chciałbym zrobić obchód pałacu. Tyle wspomnień — dodał, jakby prosząc o wybarwienie, niemal pokornie — z pałacem Berg wiąże się tyle moich wspomnień.

Pielęgniarz — krzepki, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna o czerwonej twarzy i mocno wystającym okrągłym brzuchu, ojciec rodziny, członek bractwa kręglarskiego i piwosz — wahał się

przez kilka sekund, nim odpowiedział: — Jak Wasza Królewska Mość rozkaże. — Odsunął się, żeby zrobić Ludwikowi przejście. Król, zanim opuścił pokój, obrzucił jeszcze krzywym, porozumiewawczym spojrzeniem zakratowane okno, jakby żegnał się z jakimś towarzyszem broni i współuczestnikiem spisku.

Dosyć zwawym i sprężystym krokiem Ludwik przemierzał korytarz, którego sklepienie odbijało odgłos jego kroków na kamiennej posadzce. Pielęgniarski postępował za nim w należytych odstępach.

W jednej z komnat wisiał duży portret króla z czasów, kiedy był młody i zachwycająco piękny; tak piękny, że lud był wstrząśnięty jego widokiem niby jakimś cudem. Na obrazie młody władca miał na sobie mundur bawarskiego generała oraz szeroko rozpięty gronostajowy płaszcz koronacyjny.

Przed tym portretem samgo siebie — ledwo przypominającym jeszcze człowieka, którym był dzisiaj — Ludwik zabawił dłużej. Pielęgniarski w pewnym oddaleniu czekał cierpliwie, pełen respektu, a jednak nieufny.

Ludwik wyciągnął kieszonkowy grzebyk i zaczął przeciągać nim mechanicznie po falistych, nieco przetłuszczonych włosach. Na widok namalowanej urody, która kiedyś była jego własną, znów opadły go wspomnienia.

„Tak, to byłem Ja, Ja byłem tym młodym królem — pomyślał wzruszony. — Miałem ów szlachetny wdzięk, przed którym lud pada na kolana, urodę Lohengrina, którego łabędź niesie ponad falami ku zachwytowi tych, co są na brzegu; miałem jaśniejące czoło, płonące łagodnym ogniem oczy. Doprawdy, ów młody król, którym byłem, zasługiwał na to, by żyć i panować w innych, silniejszych i piękniej-

szych czasach niż nasze. Cóż więc zrobiłem z moim królestwem?

Były dwie wojny za mego panowania. Żadna z nich nie była heroiczna czy pełna przygód; w żadną nie zaangażowałem się wewnętrznie zbyt mocno. Pierwsza, w 1866 przeciw Prusom, skończyła się dla mojej Bawarii szybko i niesławnie. Druga, w 1870 razem z Prusami, przeciw szlachetnemu narodowi Francuzów, pozwoliła królowi z Berlina zostać tak zwanym cesarzem Niemiec — a ja, ja musiałem na dodatek przyłożyć rękę do tej haniebnej komedii i Hohenzollernowi, temu barbarzyńcy, temu protestantowi, temu Prusakowi zaofiarować uroczyście cesarską koronę; zażądał tego ode mnie Bismarck.

Co zrobiłem z moim królestwem? Musiałem pozwalać, by zanudzała mnie zgraja ministrów i krytykowali dziennikarze. Należałem do wielkich tej epoki, lecz kimże są wielcy epoki — w tym bezbarwnym, ateistycznym i materialistycznym dziewiętnastym stuleciu?

Niekiedy było to nawet zabawne; być członkiem dostojnego grona: na przykład, kiedy byłem jeszcze bardzo młody i piękny, w Bad Kissingen. Moja uroda i młodość były wtedy na ustach wszystkich, mała córka cara, Maria Aleksandrowna, wydawała się we mnie mocno zakochana; ludzie oglądali się za nami, kiedy wyjeżdżaliśmy razem na spacer; to było bardzo zabawne, uważano nas już za zaręczonych...

Nie zaręczyłem się jednak z dzieckiem cara, lecz ze swą kuzynką Zofią — ach, dlaczego to zrobiłem? Wówczas, kiedy zaręczyłem się z Zofią, należało mnie zamknąć jako szaleńca; nie dzisiaj, nie teraz, kiedy wyraźnie dostrzegam wszystkie błędy

i pomyłki mego życia w ich goryczy, smutku, bólu, w ich nieodwracalnej doniosłości.

Kochałem Elżbietę — z wszystkich kobiet tylko Ciebie, Elżbieto, tylko Ciebie, moja piękna, niepokieszona w smutku, duchowo tak blisko ze mną spokrewniona przyjaciółko! A ja sądziłem, że mógłbym przelać tę miłość na siostrę Elżbiety, moją biedną kuzynkę Zofię. Posyłałem biednej kuzynce bukiety róż do Possenhofen nad Jeziorem Starnberskim, gdzie mieszkała u swego ojca, pisywałem także do niej piękne listy, nazywałem ją moją Elżą — tak, chyba naprawdę sądziłem, że mógłbym być jej Lohengrinem, jej Rycerzem Łabędzia. Potem zaręczyliśmy się. Cała Bawaria cieszyła się, ponieważ młody król zaręczył się ze swą kuzynką, siostrą cesarzowej Austrii. Ale Zofia przeważnie płakała w okresie naszego narzeczeństwa. Najpierw płakała tylko dlatego, że nigdy nie pocałowałem jej w usta — przysięgam ci, Elżbieto, nigdy nie pocałowałem Zofii w usta, tak jak nigdy nie dotknąłem Twoich ust. Potem płakała, ponieważ wciąż odkładałem ślub — a w końcu dlatego, że musiałem niestety zerwać zaręczyny. Biedna kuzynka — nie, właściwie nie była brzydka, o ile sobie przypominam, ale nie była też wcale naprawdę ładna — została na koszu i poślubiła w rok później jakiegoś francuskiego księcia. Wtedy nie żywiłem już do niej nienawiści. Za to bardzo ją nienawidziłem przez długi okres naszego narzeczeństwa. Na krótko przed podjęciem decyzji anulowania naszych zaręczyn byłem tak strasznie rozgniewany i wściekły na tę biedną istotę, że wyrzuciłem jej marmurowe popiersie — dość duży przedmiot, bardzo ciężki, a poza tym nadzwyczaj przeciętnej roboty — przez okno mego gabinetu w monachijskiej rezydencji na bruk uliczny; słyszę

teszcze łoskot rozlatującej się w kawałki kamiennej Zofii.

Kilka marmurowych skorup; nic więcej nie pozostało mi w pamięci z mego bardzo chybionego narzeczeństwa z biedną kuzynką.

Ach, pamiętam tylko straty. Straty, gdzie tylko spojrzę, cokolwiek pomyślę.

Biada mi; jestem zgubiony.

Także Ciebie utraciłem, moja Elżbieto. Nigdy nie byłaś moją, a mimo to Cię utraciłem. Odkąd to już nie widzieliśmy się, moja przyjaciółko? Kiedy zobaczymy się znowu, moja słodka siostró?

Król przyłożył dużą białą dłoń do czoła. Po czym poszedł dalej, by — w asyście pielęgniarza — dokończyć pełnej wspomnień inspekcji pałacu.

Najdłużej zatrzymał się w komnacie, w której po raz pierwszy przyjął Ryszarda Wagnera — było to dwadzieścia dwa lata temu. O niezapomniana, cudownie romantyczna i nadzwyczaj wzruszająca chwilo; mistrz, starzejący się już, lecz mały jeszcze znany w świecie, po raz pierwszy przed swym młodym, promiennym władcą. Cóż to była za rozkosz dla młodego, promiennego władcy obsypywać łaskami tego „starego czarodzieja” — jak w późniejszym okresie znajomości, zapewne żartobliwie, zwykł nazywać siebie Wagner w obecności króla — tego maga, do którego rwało się jego serce. Stary czarodziej mógł wtedy zrobić dobry użytek z przychylności marzycielskiego młodego władcy; w owym czasie był bowiem człowiekiem zrujnowanym. Sekretarz Jego Bawarskiej Wysokości, pan Pfistermeister, musiał szukać kompozytora *Lohengrina*, którego tak uparcie pragnął poznać jego monarcha, w wielu miejscach, aż znalazł go niedaleko Stuttgartu, w domu jakiegoś kapelmistrza. Pan Pfistermeister wręczył kompozytorowi, który uciekał właś-

nie przed wierzycielami i sprawiał wrażenie człowieka dosyć zaniedbanego, portret Jego Bawarskiej Wysokości oraz piękny, gruby pierścień z brylantem — jako pierwsze dowody życzliwości ze strony królewskiego ucznia; wiele innych i poważniejszych miało nastąpić później.

Królewską piersią wstrząsnął szloch i podszedł mu do gardła, gdy rozpamiętywał, jak wielka i cudowna była ich przyjaźń.

Ludwik czuł: „Niedawno w pokoju z zakratowanymi oknami myślałem o swym wielkim kochanku w sposób niegodziwy. Czyż nie nasunęły mi się nawet ohydne reminiscencje pewnych przykrości, na jakie mnie kiedyś naraził, lub mimo wszystko związane z jego osobą, i że w Monachium ludzie byli na tyle nietaktowni, iż nazywali go Lolusiem, czyniąc frywolną aluzję do panny Montez, metresy mego dziadka? Och, jak mogłem tak nikczemnie myśleć! Wszystko, co w moim życiu było piękne i godne życia, zawdzięczam jemu, mojemu uwielbianemu mistrzowi. Jakby dzięki objawieniu wiedział o wszystkim, wszystkim, co się dzieje w moim sercu. Rozumiał moje słabości i moją potencjalną wielkość. Nauczył mnie, jak być królem. Bez jego wiele znaczącej dobrej rady nie zniósłbym trudów mego urzędu. Jakże często chciałem abdykować, zrzec się korony! Mądre i surowe upomnienie Wagnera powstrzymało mnie nieraz od tak grzesznego szaleństwa. «Dostojny, boski przyjacielu! — wołałem doń. Tylko Ty i Bóg! Do samej śmierci, aż po tamtą stronę, po owe królestwo nocy światów pozostanę Twoim!» Tak ślepo, tak płomiennie, tak bez reszty rwała się do niego moja dusza. Dla Ciebie urodzony, Tobie przeznaczony! Oto moje powołanie! Pamiętam jeszcze, że pisałem do niego takie słowa i że są one czymś najprawdziwszym, najbardziej au-

tentycznym, najważniejszym, co w swoim życiu pomyślałem, powiedziałem lub napisałem. Jakże cudowne były wszystkie te rozmowy, jakie prowadziliśmy ze sobą, jakimi się wspólnie rozkoszowaliśmy! O cudowny pierwszy okresie naszego wielkiego przymierza, kiedy ja mieszkałem tutaj w pałacu Berg, a mój Ryszard w gustownej willi nad brzegiem jeziora, którą sam dla niego wybrałem! Codziennie przed południem posyłałem mu swój powóz; on przyjeżdżał, rozmawialiśmy... O rozkoszy! O jedyna rozkoszy mego biednego życia!”

Serce Ludwika wstrząśnięte było jak wtedy w owej chwili, kiedy jako młodzieniec spojrzał po raz pierwszy we władczą twarz Wagnera i poczuł magiczną siłę jego wzroku. „Tak, kochałem go — wyznał wzruszony. — Jak uczeń kocha mistrza, tak ja go kochałem”. I dalej myślał, nie czując wstydu: „Jak kobieta kocha mężczyznę, tak ja kochałem Wagnera”.

Jego gorącym życzeniem i potrzebą było ukleknąć na tej posadzce, w tym miejscu, gdzie mistrz stał przed nim po raz pierwszy. Oparował się jednak. Zwrócony do pielęgniarza, który zatrzymał się przy drzwiach w wyczekującej pozycji, powiedział głosem, który zabrzmiał bardzo łagodnie i niemal tkliwie: — Ten oto pokój jest mi w pałacu Berg najmilszy.

Gdyby pielęgniarz potrafił patrzeć, musiałby dojrzeć, że twarz jego pana odmłodziła i wypiękniła, rozjaśniona blaskiem wspomnień. Rzeczywiście, twarz Ludwika podobna była teraz znowu do tamtej, którą boski młodzieniec pokazywał na obrazie w innej sali: *le jeune Roy*, ulubieniec ludu w błaszczyku koronacyjnym zarzuconym na silne ramiona.

Pielęgniarz był jednak obojętnym, grubym

mężczyzną — ojcem rodziny, członkiem bractwa kręglarskiego i piwoszem. Ukłonił się tylko i powiedział: — Jak Wasza Królewska Mość rozkaże.

Resztę dnia król spędził spokojnie w swoim pokoju. Odnosił się uprzejmie do każdego, nawet do głównego konsyliarza von Guddena. Ten telegrafował więc również zachwycony do Monachium: „Tutaj wszystko idzie wspaniale stop król jest posłuszny jak dziecko”. Lekarz nie zwrócił uwagi na złośliwe, wściekłe i przebiegłe błyski pojawiające się ciągle w oczach Ludwika.

Deszcz szumiał. Wydawało się, jakby pogoda nie zamierzała się już nigdy poprawić. Pod wieczór podano Jego Królewskiej Mości lekki posiłek: siekane białe mięso i sałatę. Zresztą twardego pożywienia bezzębny król gryźć nie był w stanie. Na tacy znajdowały się tylko łyżka i widelec, nie było noża. Ludwik zażyczył sobie do picia czerwonego wina; służący przyniósł butelkę wody mineralnej, na co król powiedział bardzo uprzejmie i dobitnie: — Dziękuję panu, mój drogi — równocześnie jednak omiótł lokaja krzywym, złośliwym spojrzeniem.

Po posiłku król zauważył: — W tym pokoju w ogóle nie ma kwiatów. Chętnie bym tu widział piękny bukiet czerwonych i białych róż. — W kwadrans później zjawił się ogrodnik z bukietem. Ludwik zapytał z uśmiechem, czy kwiaty pochodzą z jego „rózanej wyspy” — małej wysepki na Jeziorze Starnberskim, gdzie król polecił hodować w dużych ilościach róże we wszystkich kształtach i kolorach i gdzie dawnymi czasy przechadzał się niekiedy sam lub z jakimś miłym gościem. Orodnik zapewnił, skwapliwie i trwożnie: tak, róże zostały specjalnie sprowadzone z wyspy. Ludwik wie-

dział, że to kłamstwo; uśmiechnął się dość krzywo i powiedział znowu: — Dziękuję panu, mój drogi.

Skoro tylko ogrodnik opuścił pokój, król pochylił się — raptownym ruchem, tak jak ktoś spragniony pochyła się nad źródłem — nad kwiatami. Przytulił twarz do chłodnych, pachnących mocno i słodko pąków.

W godzinę później, było około wpół do dziesiątej, doktor von Gudden przyniósł osobiście środki nasenne — dwie grube białe tabletki i kilka brunatnych kropli, które wpuścił z czarnej buteleczki do pełnego wody kieliszka do likieru. W czasie gdy Gudden zajmował się medykamentami, Ludwik obserwował go błyszczącym, podejrzliwym i złośliwie rozbawionym wzrokiem. Potem bez sprzeciwu połknął tabletki i krople, nie spuszczać zresztą przy tym oczu z głównego medyka.

Spał mocno prawie dziesięć godzin. Służącemu, który pomagał mu rano przy ubieraniu, opowiadał będąc w dobrym humorze: — Śniłem o różach i łabędziach — najmilszych wytworach natury. — Przemilczał, że około ósmej rano przy przebudzeniu nawiedziły go pewne halucynacje kolorystyczne i słuchowe. Zdarzało mu się to teraz często. Zresztą podobne halucynacje znał już będąc chłopcem. Powietrze wypełniało się brzękającymi srebrzyście dźwiękami i wirującymi krążkami — czerwonymi, zielonymi i fioletowymi — czasem pojawiały się także twarze lub przyzywające ręce; było to równocześnie przyjemne i niepokojące.

Służący, zmieszany liryczną uwagą o różach i łabędziach, zauważył: — Wciąż jeszcze pada, Wasza Wysokość.

— Tak — powiedział król. — Chyba jeszcze przez jakiś czas będzie padać. — Doktor von Gudden miał wszelkie powody, żeby być nadal zadowo-

lonym ze swego dostojnego pacjenta. Po śniadaniu wybrał się z Ludwikiem na spacer przez park, aż nad sam brzeg jeziora. Padał deszcz, dróżki były tak rozmiękle, że poruszanie się sprawiało pewną trudność.

Kiedy Ludwik w swej długiej, ciemnej, teatralnie udrapowanej lodenowej pelerynie i czarnym miękkim kapeluszu z szerokim rondem pojawił się w parku, lokaje znów stłoczyli się przy oknach pierwszego i drugiego piętra. Tręcali się w bok i szeptali: — To król! Patrzcie, dotknięty jest paranoją niczym zarazą! Patrzcie, dwóch pielęgniarzy od wariatów postępuje za naszym biednym królem i jego lekarzem!

Ludwik tymczasem rozprawiał w jakiś niesamowicie ożywiony sposób z konsyliarzem o tysiącu spraw. Na dłużej zatrzymał się przy tematach literackich i rozwoził się nad tym, z jaką przyjemnością bierze udział w kolejnej dobrej inscenizacji jakiegoś dramatu Schillera. Ale dlaczego — tak pytał król — nie udało mu się zebrać wokół siebie kręgu interesujących poetów, jak to potrafił tak doskonale urządzić jego świętej pamięci ojciec? Mój świętej pamięci ojciec — powiedział Ludwik, a w jego oczach zabłyśły wyjątkowo złośliwe światelka — przewodniczył czarującemu gronu wielkich umysłów: byli tam wytrawni poeci Emanuel Geibel oraz Paul Heyse, przyrodnicy Liebig i Jolly — reprezentanci nauki. Dyskutowano żywo na aktualne tematy i pito dużo piwa. Mój świętej pamięci ojciec — nie ulega kwestii — stykał się istotnie z umysłową elitą epoki. Ma się rozumieć, Geibel był niesympatycznym typem — skonstatował z nagłym rozdrażnieniem. Po czym szybko zmienił temat rozmowy.

Rozwoził się nad przestarzałością królestwa. — Właściwie idea monarchiczna nie pasuje już zgo-

ła do naszej pięknej, nowoczesnej epoki! — zawołał wesoło. — Za dużo w niej starej, zakurzonej metafizyki. Proszę sobie na przykład wyobrazić, najdroższy konsyliarzu, że jeszcze dziś umrę. Wtedy mój biedny, nieszczęśliwy i beznadziejnie obłąkany brat Otto byłby zgodnie ze swym imieniem i tytułem królem Bawarczyków, a ktoś inny, bynajmniej do tego nie uprawniony, musiałby prowadzić za niego sprawy państwowe.

W tym miejscu doktor Gudden pośpieszył z uwagą:

— Bogu dzięki Wasza Wysokość cieszy się jak najlepszym zdrowiem.

Ludwik oświadczył jednak, teraz już niemal swawolnie:

— Nie, nie, drogi doktorze, niech pan mówi, co chce: republika jest tą formą państwa, do której zmierza nasza epoka — Francja jak zwykle wyprzedza naszą epokę w tym względzie tylko nieznacznie. My królowie — proszę mnie dobrze zrozumieć, drogi przyjacielu! — my monarchowie jesteśmy w zasadzie chodzącymi anachronizmami. Nowoczesna epoka należy do nauki, prawdziwie rządzącymi siłami epoki są psychiatria i kapitał finansowy...

Doktor von Gudden z respektem oponował. Poza tym przemókł do suchej nitki, ponieważ trzymał swój parasol nad głową króla, który zapomniał zabrać swojego.

Kiedy zeszli już na sam dół, na promenadę nad jeziorem, Ludwik powiedział jeszcze, posyłając długie spojrzenie ponad szarą, marszczącą się pod uderzeniami deszczu powierzchnię wody:

— Szkoda, że jest zbyt zimno na kąpiel. Lubię pływać, musi pan wiedzieć, wielce szanowny pa-

nie doktorze. I kocham wodę — dodał zmienionym nagle głosem.

Król, jego lekarz i obydwaj pielęgniarze wracali do pałacu

Na obiad Ludwik zjadł trochę siekanego mięsa i jarzyn. Po posiłku przyjął swego drugiego lekarza, specjalistę neurologa, doktora Müllera. Zasięgnął u niego informacji o zdrowiu księcia Ottona, którego osobistym lekarzem był Müller.

— W ostatnich latach nie można stwierdzić w stanie zdrowia Jego Wysokości żadnej godnej uwagi zmiany — odparł neurolog.

Ludwik nie pytał dalej. Skinął jeszcze tylko głową:

— W ostatnich latach... Tak, tak, trzeba się chyba będzie nauczyć cierpliwości...

Później zauważył:

— Gudden mówi, że chciałby pan uporządkować moją bibliotekę. Mówi pan po francusku?

— Na tyle, na ile można się nauczyć w gimnazjum, Wasza Wysokość.

— Czym pan się najchętniej zajmował w gimnazjum?... Pozostanie pan tutaj przez cały czas?

— Będę się zmieniał co miesiąc z kolegą.

— Kto to jest?

— Nie wyznaczono jeszcze nikogo.

— W końcu to obojętne — powiedział król.

Popołudnie spędził siedząc przy zakratowanym oknie bądź to nucąc jakieś melodie, bądź to deklamując przytłumionym głosem fragmenty wierszy Schillera lub Racine'a. Znów wyciągnął grzebyk kieszonkowy i przeczesywał nim powoli swą *chevelure*. Od czasu do czasu wstawał, przeciągał się i uśmiechał przy tym. Około godziny szóstej zadzwonił na pielęgniarza: niech zapyta doktora von Gud-

dena, czy ten miałby ochotę wybrać się na jeszcze jeden mały spacer.

Gudden zjawił się w trzy minuty później. Pomógł Jego Królewskiej Mości włożyć lodenową pelerynę, podał mu miękki kapelusz z szerokim rondem, a także parasol; nie zamierzał bowiem w żadnym wypadku jeszcze raz zmoczyć własnej głowy.

— Chodźmy więc! — powiedział Ludwik, odsłaniając w uśmiechu żółte pieńki zębów i obrzucając znowu krzywym, złośliwie triumfującym spojrzeniem zakratowane okno.

Doktor von Gudden uznał ze względów pedagogicznych za stosowne nie zabierać ze sobą tym razem pielęgniarzy. Podczas porannego spaceru Jego Wysokość zachowywał się rozsądnie, a nawet całkiem żywo rozprawiał. Chory zasługiwał więc na małą zachętę i nagrodę. Spacerując z nim sam na sam, Gudden chciał dowiedzieć, że ma do niego zaufanie.

Ludwik, który przed południem był tak rozmowny, okazał się tym razem milczący. W szeroko rozwianej, ciemnej lodenowej pelerynie, w kapeluszu z szerokim rondem wciśniętym głęboko na czoło stawiał wielkie kroki, pogwizdując przy tym urywki jakichś melodii. Doktor von Gudden, który bywał czasami w operze, poznał, że były to melodie Wagnera. Przypuszczał, że rozmowa o wielkim kompozytorze sprawi królowi przyjemność. Dlatego też swym uprzejmym, przymilnym głosem powiedział:

— To jednak rzecz godna uwagi i piękna, jak muzyka mistrza, wszędzie początkowo błędnie rozumiana i odbierana nawet jako odrażająca, podbiła teraz całą Europę, ba, można chyba powiedzieć, że cały świat.

Ludwik pozostał milczący i gwizdał jakiś mo-

tyw z *Zygfrйда*. Po dość długiej chwili odezwał się swym ciemnym głosem:

— Ciekaw jestem, czy ten deszcz przestanie kiedyś padać.

Ciężkie krople deszczu bębniły o parasole obydwu panów. Szumiały płaczliwie w drzewach i zaroślach. Na błotnistych mokrych drózkach trudno się było posuwać naprzód. Doktor von Gudden żałował, że zgodził się na ten mokry spacer.

— Niepomyślna aura może potrwać dłużej — odrzekł nie bez pewnej surowości w głosie.

Król przytaknął i milczał. Pod szerokim rondem wodanowego¹ kapelusza jego oczy żarzyły się jak wilgotne drzewo w nocy.

Promenada prowadziła wzdłuż jeziora, od którego dzielił ją tylko wąski pas trawnika i kilka krzaków. W ciemności nie było prawie widać wody, lecz słychać było ciche uderzenia drobnych fal o brzeg i równomierne spadanie deszczu na powierzchnię.

Główny medyk powiedział: — Wasza Wysokość powinien jutro rano rozpocząć ćwiczenia gimnastyczne — gdy król wykonał niespodziewany skok. Oskakując od doktora w bok, w ciemność, wydał ochryple radosny okrzyk, przypominający trochę jodłowanie, którym górnobawarscy chłopci wtórują sobie podczas swych dziwacznych tańców. Jeszcze w trakcie skoku Ludwik odrzucił parasol. Lodenowa peleryna powiewała na nim niby olbrzymie czarne skrzydła. Z trzepoczącej się straszliwie czarnej płachty uwolnił się dopiero, kiedy stał już po kolana w wodzie.

Doktor von Gudden, który na kilka sekund zamarł z przerażenia i niezdolny był do żadnego ruchu, usłyszał, jak król potężnymi uderzeniami pluska się w wodzie. Słabym, ochryplem głosem le-

karz zawołał: — Halo, Wasza Wysokość! Co to za dziecinada — wołał płaczliwie główny medyk. — Niech Wasza Wysokość wraca! Proszę, proszę! — Gudden miał wciąż jeszcze nadzieję, że jego pacjent, kierując się szalonym kaprysem, chciał tylko wziąć kąpiel i nie miał żadnych innych złych zamiarów. Odpowiedziało mu z wody owo ochryple jodłowanie — w połowie krzyk bólu, a w połowie ryk rozkoszy. Poza tym był to krzyk wibrujący, raz brzmiał wysoko, raz niżej; Gudden powziął dosyć przerażające podejrzenie, że Jego Wysokość uderza rytmicznie przy jodłowaniu płaską dłonią w otwarte usta dokładnie tak, jak zwykli to czynić okoliczni chłopci podczas swych prymitywnych tańców.

Teraz jednak konsyliarz musiał się już zdecydować pośpieszyć za królem do jeziora. Szybko, ale przy tym nie bez pedanterii, pozbył się przeciwdeszczowego płaszcza, kapelusza i parasola. Wyszeptał przy tym kilkakrotnie: — Najświętsza Panienko, dopomóż! — choć nie wierzył wcale w Najświętszą Panienkę ani jakiegokolwiek inne moce niebieskie. Paroma zwinnymi susami psychiatra przebiegł kawałek bagnistej łąki znajdujący się między promenadą a jeziorem. Nie widział prawie nic; deszcz, padający teraz jeszcze mocniej, zalewał mu oczy. Mimo to wiedział dokładnie, gdzie ma szukać króla: ochryple radosne okrzyki i pluśnięcia wskazywały mu drogę.

— Dokąd Wasza Wysokość zmierza? — wołał żałośnie główny medyk, który z przerażeniem poczuł, że sam stoi już po kolana w wodzie.

Z czarnych odmętów straszliwy król odkrzyknął:

— Do mego królestwa, durniu! Do mych sprzymierzeńców, ośle! Precz od ciebie, diable! Do mojego domu, śmierdzielu! — Z tymi słowami Lud-

wik rzucił się już cały do wody i zaczął rozdzielać pomarszczone fale swymi silnymi ramionami. Król płynął.

— W żadnym wypadku nie mogę na to pozwolić! — wyszeptał Gudden drżącymi z zimna i przerażenia wargami — i oto także na niego przysła chwila, że musiał całkowicie zanurzyć się w wodzie. Uczynił to bojaźliwie, lecz szybko, ruchami, które miały w sobie coś komicznego, cicho parskając, tak jak zachowuje się większość starszych panów wstępujących przy ładnej pogodzie do zimnego żywiołu. Doktor von Gudden miał na sobie długi, czarny staromodny surdut i szeroki, czarny jedwabny krawat na wykrochmalonym gorsie koszuli. Żał mu było porządnego ubrania. „Nie będę go mógł już włożyć — myślał — surdut zupełnie straci fason, w końcu surdut nie jest kostiumem kąpielowym — dlaczego jednak nie zdjąłem trzewików — Matko Boska, dopomóż!” I wtedy, ku własnemu zaskoczeniu, znalazł się przy królu, który wciąż jeszcze bardzo blisko brzegu wykonywał wspaniałe szerokie ruchy pływaka, nie ruszając się jednak prawie wcale z miejsca. Nagle Gudden rozpoznał tuż przed sobą ociekającą wodą głowę Ludwika. Twarz króla przedstawiała straszliwy widok. Jego zazwyczaj tak wypielęgnowana fryzura była w nieładzie, sztywne loki niczym węzowe włosy Meduzy sterczały mu ponad połyskującym białym czołem, a ze splecionej brody ciekła woda. Przewracał oczyma, a jego bezzębne usta były szeroko rozdziawione: do śmiechu, do krzyku, do skargi.

— Niechże Wasza Wysokość się opamięta! — błagał nadpływając główny medyk, przy całej grozie wciąż jeszcze pełen respektu i wciąż jeszcze w nadziei, że coś wskóra łagodną perswazją w tej tak nieprawdopodobnej, ekstremalnej sytuacji.

Ociekająca wodą głowa — podobna do głowy morskiego potwora — ryczała jednak:

— Chcę do domu! Do mego królestwa! — Gudden złapał króla mocnym chwytem za kark, na co Ludwik ryknął prawie już nieludzkim głosem: — Chcesz mnie zabić, szatanie? Od razu cię rozpoznałem, morderco!

A konsyliarz, sapiąc, bez tchu, z ustami pełnymi wody: — Chcę pana ratować, Wasza Wysokość — chcę pana ratować...

Odpowiedział mu przytłumiony, gardłowy śmiech.

Od strony pałacu dobiegało szczekanie psa. Doktor von Gudden pomyślał: „Tak blisko jest dom, tak blisko są ludzie...” I nagle zaczął krzyczeć, najgłośniej jak potrafił:

— Na pomoc, na pomoc! — Lecz nie starczyło mu na długo sił; głos, stłumiony przez wodę, nie rozbrzmiewał żadnym mocniejszym dźwiękiem. Król zakrył mu usta swą wielką, białą i moką dłoń.

— Daremnie! — syknął okrutnik. — Nie przyjdzie żadna pomoc!

Wtedy Gudden poczuł po raz pierwszy śmiertelny strach. Uczeplił się mocniej króla. Ten szepnął doń:

— Jeśli pójde na dno, to ty razem ze mną, robaczku! — Przy tym przewracał znów oczyma i ukazywał pieńki zębów w szeroko rozdziawionych ustach. Ociekająca wodą głowa z węzowymi włosami nie miała już ludzkich rysów. Mimo to Gudden szepnął jeszcze: — Litości! — Jednocześnie zaczął jednak ostatnim wysiłkiem bronić się przed Ludwikiem, który zamknął ciało nieszczęśnika w swych silnych ramionach jak do jakiejś morderczej pieszcoty.

Król i lekarz walczyli. Nieustanny szum padającego deszczu i pluskanie ciemnych fal towarzyszyły ich niememu, rozpaczliwemu pojedynkowi. To Gudden był wcisnięty pod wodę przez Ludwika, to znów Ludwik przez doktora. Przez kilka sekund wydawało się, że główny medyk odniesie zwycięstwo. Odzyskał nawet znowu siły do mówienia — wzywał tym razem nie Matkę Boską, lecz własną, która zresztą zmarła przed szesnastu laty i spoczywała na Cmentarzu Leśnym w Monachium.

— Mamo, mamó! — wołał psychiatra, a łzy, które płynęły mu z oczu, mieszały się z wodą, zalewającą mu twarz, i krwią ciekącą z jakiejś rany; w trakcie zaciekłego pojedynku król nie tylko nabił na wysokim, pięknie sklepionym czole uczzonego wielkiego guza, lecz wgryził mu się także w policzek; bolesna otwarta rana krwawiła. — Mamo! — zawołał jeszcze raz doktor, po czym białe, wielkie i bezlitosne dłonie okrutnego wroga wtoczyły mu z powrotem słowa do gardła.

— Do mego królestwa — bełkotał Ludwik, i brzmiało to spośród fal jak ryk triumfu. — Noc światów... Ryszard... czarny łabędź... woda woda... Och, na dno, na dno... — śpiewał i bulgotał tonący. — Elżbieto — wykrztusił jeszcze — wieczna zagłada... och, na dno.

Król i uczony tonęli spleceni w uścisku, wczepieni w siebie jak para kochanków.

Depesza do Monachium: „Król i Gudden wyszli wieczorem na spacer stop jeszcze nie wrócili stop park jest przeszukiwany”.

Lampy, pochodnie, krzyczący ludzie w parku wokół pałacu Berg: o dziesiątej wieczorem, o jedenastej w nocy, o wpół do dwunastej w nocy.

Jakiś młody służący wydaje nagle w samym

środku całego hałasu cichy okrzyk przerażenia i triumfu. W trawie, nad jeziorem znalazł duży czarny kapelusz Jego Królewskiej Mości oraz niedaleko od tego miejsca parasol, kapelusz i palto Guddena.

W kilka minut później obydwie trupy zostają wyłowione z drobnych fal jeziora i złożone delikatnie na brzegu.

Chór lokajów, pielęgniarzy, lekarzy, garderobianych, policjantów wydaje jeszcze jeden okrzyk. Wszyscy tłoczą się wokół dwóch topielców, światło pochodni pada na mokre, białe twarze.

Główny konsyliarz ma zamknięte oczy. Jego twarz, pominawszy okrągłego guza na głowie i ranę na prawym policzku, jest prawie nie zmieniona. Ma pocziwy, niemal zadowolony wyraz.

Oczy króla natomiast są żałośnie otwarte. Ponieważ nikt nie śmie zbliżyć się do zmarłego, młody lokaj — ten sam, który przedtem odkrył części garderoby — pochyla się znowu, odważny i miłosierny, nad zwłokami, by zamknąć oczy swemu biednemu panu.

Młody lokaj nie był nigdy zatrudniony w pobliżu króla. Jego Królewska Mość nie raczył nigdy zwrócić na niego uwagi. Młody lokaj pochodzi z obcego kraju i już jako chłopiec podziwiał Ludwika II Bawarskiego. Ma dziewiętnaście lat.

Następnego ranka: wrzawa i wzburzenie w stolicy, w całym kraju, w Europie. Potworna wiadomość, straszliwa nowina obiega kontynent, wywołuje burzliwe dyskusje, chłodną ciekawość, gdzieś niedzie chybą także łzy.

W pałacu Berg zrobiło się cicho. Przyszło kilka starych niewiast, myją zwłoki króla. Służący opierają się zmęczeni o ściany lub wyciągają w fotelach, jakby dokonali czegoś wielkiego, prze-

zyli ciężką, podniecającą i okropnie wyczerpującą nerwowo przygodę.

Dramat skończył się. Wśród statystów panuje zmęczenie. Ledwie mogą jeszcze poszeptywać między sobą, jak wspaniałe i straszne było to wszystko, co się wydarzyło.

Dramat nie skończył się. Brakuje ostatniej sceny.

Oto co musi się jeszcze wydarzyć:

Czarny powóz jedzie przez park pałacu Berg — znów czarny powóz z zasłoniętymi oknami — i zatrzymuje się na zwirowanym placu przed portalem. Podbiegają trzej służący z parku. Właśnie wylegiwali się ze zgaszonymi minami w jakimś przed-sionku, lecz teraz zadziwiająco szybko są już na posterunku; kiedy dało się słyszeć skrzypienie kół powozu na żwirze, rzucili pewnie zmęczonym, trochę zniechęconym okiem przez okno, a wtedy poznali powóz i stangreta. Powóz przybywa z drugiej strony jeziora, z Possenhofen, gdzie cesarzowa Austrii Elżbieta spędza lato. Lokaje wiedzą więc, kto siedzi w powozie, i rzucają się doń nagle zupełnie rozbudzeni, zbliżając się biegiem i wykonując żywe, niemal trzepoczące gesty. Otwierają drzwiczki powozu i zginają się w głębokim ukłonie, gdy tymczasem z powozu wysiada zawoalowana dama, nie pozwalając sobie pomóc służącym ani swej garderobianej.

Powoli i pojękując cicho wysiada za nią garderobiana — żaden ze służących ani myśli pomóc jej przy wysiadaniu; cesarzowa stoi jednak przez kilka sekund nieruchoma jak posąg przed powozem — i oto wykonuje gest, jakiego w tym momencie najmniej się po niej spodziewali: podnosi z wolną ręką i odchyła woalkę. Trzem mężczyznom, trwającym z drzeniem w głębokim ukłonie, pokazuje cu-

downy owal swej marmurowo bladej twarzy; ba, odrzuca czarny tiul tak daleko do tyłu, że ukazuje się nawet część jej włosów — jej słynnej, ciemnej, miękkiej i bujnej *chevelure*. Twarz cesarzowej jest nieruchoma; pochyłonych służących, którzy zezują z dołu, przeraża nieruchomość tej twarzy. Wszyscy trzej czują: nigdy jeszcze nie widzieliśmy tak pięknej twarzy. Oraz: nigdy jeszcze nie widzieliśmy tyle bólu naraz na jednej twarzy.

Dopiero kiedy cesarzowa zaczyna iść, straszliwe napięcie na jej kamiennej twarzy nieco ustępuje. Zaczynają drżeć usta — jakże nieskończenie wzruszające wrażenie robią te dziecinnie drżące usta przy całej doskonałości jej podniesionej dumnie, odsłoniętej twarzy; jednocześnie wilgotnieje cudowna ciemność jej oczu. Jeszcze nie może płakać, nie może wylewać łez; lecz już ta odrobina wilgoci w oczach oznacza dla niej jakby pociechę i dobrodziejstwo po strasliwym odrętwieniu ostatnich godzin. Kawałek zwirowanego placu między powozem a portalem pałacu cesarzowa Elżbieta przemierza śpiesznym krokiem. Ma na sobie czarną fałdzistą mantylkę, która trzepocze przy szybkim marszu i marszczy się jeszcze bardziej. Na bardzo wysokich obcasach czarnych jedwabnych bucików kroczy Elżbieta śpiesznie i trochę jakby na szczydlach przez biały, pusty plac, tak jak tragiczka przez pustą scenę, na-przeciw wypełniającemu się losowi.

Garderobiana ledwie może nadążyć, gdyż chód jej pani jest jakby uskrzydłony smutkiem. Garderobiana jest mała i bardzo stara. Że jest bardzo stara, poznać można po jej zgarbionej postawie i pomarszczonych, pożółkłych dłoniach; swej twarzy garderobiana nie pokazuje. Nie znajduje odwagi ani siły na cudownie okrągły gest, jakim władczyni uniosła woalkę. Stara towarzyszka cesarzowej —

może ma siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt, albo dziewięćdziesiąt pięć lat — ukrywa swą strapioną twarz za gęstą czarną woalką.

Ponieważ stara się nie zostawać zbyt z tyłu za władczynią, trochę się zasapała. Przy tym na jej siły o wiele za szybkim, wywołującym małą zadyszkę ruchu mówienie z pewnością nie przycodzi jej łatwo. A jednak, jakby jej za to płacono lub wręcz polecono deklamować pewne wyrażające ból formułki — mniej więcej tak, jak przy pogrzebach czynią to opłacane płaczki — trajkocze i lamentuje bez przerwy, wyciągając nogi i posapując. Lokaje słyszą, jak za czarną maską grubej woalki stara mamrocze: — Nasz biedny pan! Och, nasz piękny król! Niech Bóg się zlituje nad jego dobrą duszą! Och, nasz dostojny pan!

Cesarzowa dotarła tymczasem do schodów prowadzących do portalu. Odwraca głowę i rzuca przez ramię małej starej garderobianej zdenerwowane, niemal groźne spojrzenie. Spojrzenie to — nagle nie jest już wcale wilgotne, lecz jasne i władcze — wzywa towarzyszkę, żeby skończyła swe żalosne jęki. Staruszka zdaje się jednak nie dostrzegać lub wręcz nie rozumieć spojrzenia cesarzowej; trajkocze dalej: — Nasz słodki król! *Le pauvre! ah, le malheureux!*

Zresztą zrównała się już właśnie ze swą panią. Błagalnym gestem wyciąga ramiona do Elżbiety. Ta jednak, nie zważając zupełnie na niedoleństwo swej zwiędłej pokojówki, śpieszy dalej — i tak może powstać wrażenie, jakby jej uskrzydłony bieg przez zwirowany plac był jedynie ucieczką przed lamentującą służącą — chyżym krokiem pokonuje cztery stopnie, stukając przy tym wysokimi obcasami po kamiennych schodkach; garderobiana, unosząc ciężkie spódnice, robi wszystko, co w ludzkiej

mocy, by znaleźć się przy drzwiach równocześnie z władczynią, nie przerywając jednak żalosnej paplalniny: — *Oh, notre pauvre roi!* — nawet na sekundę.

Cesarzowa Elżbieta wkracza do pałacu Berg.

Ponad pałacem, ponad jeziorem — wyblakłym i nieruchomym — ponad wierzchołkami drzew wisi szare, niskie, wilgotne niebo. Wciąż jeszcze zanosi się na deszcz. Lecz od kilku godzin już nie pada.

W pałacu wszyscy już wiedzą, kto zajeżdża czarnym powozem. W westybulu, który Elżbieta w towarzystwie pokojówki musi właśnie przemierzyć, tłoczą się oficerowie, policjanci i lekarze, lokaje, pielęgniarze oraz służące. Siwy mężczyzna w haftowanym uniformie chce podejść do cesarzowej, by ucałować jej dłoń, by powitać ją w pałacu. Ona wydaje się go zupełnie nie dostrzegać, jej szeroko otwarte oczy pod pięknymi łukami brwi są niewidzące, jakby oślepy; wykonuje tylko drobne ruchy obydwoma rękoma, by odpędzić urzędnika dworskiego, tak jak odpędza się natrętne zwierzę lub wymaginowaną jedynie, w rzeczywistości w ogóle nie istniejącą istotę, przez którą człowiek czuje się prześladowany: trzepoczący cień, bezsilnego ducha.

W pomieszczeniu wypełnionym po brzegi ludźmi nie słychać nic oprócz stukotu wysokich obcasów cesarzowej na marmurowej posadzce oraz cichego lamentu garderobianej: — *Notre pauvre roi...*

Elżbieta postępuje za mężczyzną w haftowanym uniformie — którego właśnie od siebie odpędzała obydwoma rękoma — po szerokich schodach na górę; dworzanin ma honor pokazać jej drogę.

Cesarzowa Austrii nie musi już długo wędrować na wysokich obcasach swym uskrzydłonym przez smutek krokiem. Jest niemal u celu: jeszcze tylko kilka stopni, jeszcze tylko kawałek korytarzem

pierwszego piętra i mężczyzna w uniformie otwiera jej z niskim ukłonem drzwi do sypialni króla.

Także ten próg przekracza Elżbieta z podniesioną głową; tylko jej usta drżą, a oczy są wilgotne i ślepe.

Urzędnik dworski wycofuje się. Garderobiana podąża za cesarzową do pokoju zmarłego. I dopiero tutaj, w obecności zwłok, staruszka przestaje mąmrotać i lamentować. Wreszcie milknie. Milcząc ucieka w najbardziej oddalony od łóżka kąt pomieszczenia. Ukrywa swą zawoalowaną twarz w starych zniszczonych dłoniach, na których rysują się niczym małe węże grube, niebieskawe żyły.

Tymczasem Elżbieta — jakby pędził ją wciąż przed siebie wiatr ukryty w fałdach mantylki i jakby nie mogła, mimo że już u celu, od razu zatrzymać się w swym biegu — śpieszy dalej, obok łóżka, przez cały pokój, aż do okna — aż do zakratowanego okna.

Pierwszą rzeczą, jaką spostrzega Elżbieta, jest to, że zakratowano okno — tak jak było to pierwszą rzeczą, jaką z gniewem i ze zgrozą zauważył Ludwik, przybywszy tutaj przed czterdziestoma ósmioma godzinami. Tym razem Elżbieta zaciska palce na żelaznych prętach, a od żelaznych prętów, tak jak poprzedniego dnia, ciągnie zimnem i wilgocią. Cesarzowa wzdryga się przy ich dotknięciu. Teraz drżą nie tylko jej usta; całym ciałem wstrząsają dreszcze. Jednocześnie znajduje jednak wreszcie siłę, by rozchylić wargi: po raz pierwszy, od kiedy wyruszyła w tę pielgrzymkę do martwego ciała swego drogiego przyjaciela — po raz pierwszy Elżbieta przemawia. Głosem ochrypłym od długiego milczenia — bardziej z bezgranicznym zdziwieniem niż skargą — mówi: — Jakby był niebezpiecznym furiantem — zakratowali okno... — I te kilka słów pow-

tarza wciąż, pięć albo siedem, albo dziesięć razy — jakby zawierała i wyrażała się w nich cała pełnia jej bólu. Kiedy za żelaznymi prętami porusza tam i z powrotem swą bladą twarzą z niewidzącymi oczyma i drżącymi ustami, sama przypomina obłąkaną.

Może pozostaje przy zakratowanym oknie tak długo tylko po to, żeby odwlec tę chwilę, kiedy będzie musiała spojrzeć w oblicze martwego przyjaciela. Przed tą sekundą nie sposób jednak uciec, ona dopomina się o swoje prawa, chce się stać teraźniejszością, chce być odcierpiana — ach, oto i ona: biedna Elżbieta, już musi oderwać ręce od zimnej wilgotności prętów kraty, już musi odwrócić głowę, posłać bolesne spojrzenie w stronę łoża, na którym spoczywa Ludwik.

Nie spodziewała się, że znajdzie swego drogiego przyjaciela tak okropnie zeszpeconego. Czy jest to aby jego twarz? Wydaje się przecież tylko czarniawą, bezkształtną masą. Te ciemnoniebieskie, nabrzmiałe, na wpół otwarte usta — czy to są te usta, które tak bardzo kochała? Jego piękne ciało, jego królewskie włosy — co się z nimi stało? Jakąż okrutną ręką dotknęła tego wszystkiego i tak wszystko zeszpeciła?

Jakże żałosna wydaje się teraz biednej Elżbiecie owa chwila, po której się jednak spodziewała, przy całej jej zgrozie, że będzie miała w sobie coś z mrocznego dostojeństwa! Czy jest to ta wzruszająca i niesamowita scena żałobna, na którą Elżbieta przygotowywała się w swym sercu? Rzeczywistość wygląda prościej i okrutniej. Cóż takiego dzieje się w tym pokoju z zakratowanymi oknami? Niezupełnie już młoda kobieta stoi przed zniekształconymi zwłokami mężczyzny, którego być może kochała bardziej niż jakiegokolwiek innego...

Teraz nie musi już dźwigać prosto głowy z pięknymi i ciężkimi słynnymi włosami; teraz jej czoło pochyła się, a zalana łzami twarz opada na piersi. Elżbieta chwieje się, sięga ręką za siebie, za chwilę upadnie. Podbiega garderobiana; podtrzymuje mdlejącą.

Podpierzana przez zawołowaną pokojówkę — która przy tej sposobności okazuje się o wiele silniejsza i zręczniejsza, niż można by się było spodziewać — Elżbieta zaczyna się modlić. Najpierw szepcze, potem woła, a wołanie przechodzi w krzyk:

— Jesteś bardzo potężny, Boże. Jesteś Bogiem zemsty. Jesteś Bogiem łaski. Jesteś Bogiem mądrości. Jesteś niezgłębiony, Boże. Mój Boże. Ty jesteś niezgłębiony! — krzyczy Elżbieta ponad zniekształconymi zwłokami, a ponieważ to wypowiedziała, ponieważ to wykrzyczała, przytrafia się jej coś, co jest zagadkowe i pokrzepiające jak cud. Mokre od łez oczy Elżbiety zaczynają widzieć. Przed jej widzącymi już oczyma zmienia i przeobraża się twarz tego, który był jej braterskim przyjacielem. Spoczywająca na poduszce twarz nie jest już czarניawą, nabrzmiałą, niemal bezkształtną masą. Twarz braterskiego przyjaciela odnajduje Elżbieta taką, jaką знаła i kochała od dawna. Oto ona raz jeszcze: miękkie loki nad czołem, od którego bije blask. Błyszczący i smutny wzrok obdarzony całym wdziękiem melancholii — oto znów cały on. I usta są znowu tamtymi ustami o pięknym rysunku, jednocześnie tkliwymi i nieco przekornymi, ciągle odmawiającymi pocałunków tym, którzy ich pragną, i ciągle trwoniącymi je dla tych, którzy czują przed nimi strach albo się z nich śmieją.

Na co się zda Elżbiecie, że ponownie widzi tę urodę? Otoczony nimbem swej legendy, raz jeszcze zjawia się przed nią młody król, dziewiętnastolatek

w purpurze na srebrnej zbroi, ulubieniec ludu, Lohengrin, którego błyszczące czoło ciągnie łabędź. Taki obraz stoi Elżbiecie przed oczami. Czy łagodzi to jej ból? A może to, co Elżbieta właśnie czuje, nie jest już bólem?

Ponieważ krzycząc wzywała niezgłębionego Boga, spodobało się Mu w Jego niepojętej dobroci uczynić biedną kobietę u łoża topielca na przeciąg jednej chwili wiedzącą. Ach, ta nieopisana, cudowna chwila nie może jednak trwać! Kiedy przeminie — o jakże szybko przeminie! — Elżbietę ogarnie znowu otępienie i ślepa boleść, i jeszcze sto tysięcy razy szeptać będzie do siebie rozpaczliwe pytanie: „Boże, dlaczego musiało się tak stać?”

Lecz właśnie to, że musiało się tak stać — właśnie sens tego, co niepojęte, ogarnia jej zranione, rozjaśnione cudem serce w ciągu tej jedynej nieopisanej, wspaniałej sekundy. Słowa nie są w stanie wypowiedzieć i oddać tego, co z pełnym przeczuciem dreszczem przeżywa Elżbieta, siostrzana przyjaciółka zmarłego.

Jakieś niesamowite światło pada na losy jego i jej. Rozumie jego śmierć i wie z góry, jaka śmierć przeznaczona jest jej samej. Wie także, dlaczego ona i jej braterski przyjaciel nie mogli się połączyć, mimo że się przecież kochali. Wie wszystko. Jej serce wypełnia się aż po brzegi wiedzą, tak jak serca wypełniają się czasem po brzegi czułością. Lecz serca ludzkie nie są dość silne, by utrzymać wiedzę czy czułość.

Ta wielka wiedza, którą Elżbieta czuje się obdarzona przez krótką, wspaniałą chwilę, zawiera w sobie o wiele więcej niż powierzchowny tylko wgląd w nieuniknione prawa stojące ponad życiem jej i jej braterskiego przyjaciela. Ten, komu wolno

na chwilę wniknąć głęboko w dwa ludzkie losy — los własny i los tego, kogo kochał, ten czuje się także — lecz ach, przez tę jedną sekundę olśnienia! — wtajemniczony i w inne cuda. Niesamowita mieszanina udręki i rozkoszy, szlochu i zachwytu, która porusza jego pierś, pozwala mu przeczuć, jak wiele z tego, co wydawało się do tej pory tajemniczo splątane, a nawet przerażające, wiąże się ze sobą i wzajemnie porządkuje.

Wykorzystaj tę cudowną chwilę, biedna Elżbieto, żeby wziąć się w garść, żeby przybrać na powrót piękną postawę, której się od ciebie, cesarzowej w żałobie, oczekuje, a nawet żąda! Pomyśl tylko: wielka chwila jest krótkotrwała jak mrugnięcie okiem! Przemija szybciej niż uśmiech, znika bardziej niepostrzeżenie niż płacz. Wykorzystaj ją, biedna cesarzowo! Podnieś głowę!

Udaje się jej to... Podnosi głowę. Uwalnia się z objęć zwiędłej, a przecież tak krzepkiej garderobianej. Rozkłada ramiona. Jej twarz odchyła się nieco do tyłu. W draperii swego płaszcza, z rozjaśnionym, pełnym boleści obliczem przypomina Elżbieta posąg cierpienia — jakąś mater dolorosa, kiedy padając na kolana, rzucając tułów do przodu, cudownym gestem przywiera do zmarłego, okrywa pocałunkami jego ręce. Na poduszkę, na której spoczywa jego głowa, ciemne, bujne, drogocenne włosy cesarzowej spadają niczym piękny deszcz. Wydaje się, jakby swymi włosami i swym płaszczem chciała przystroić nagość jego pozbawionego kwiatów łoża.

Jedynym świadkiem tego wielkiego obrazu, przedstawiającego cesarzową u łoża martwego przyjaciela, jest garderobiana. Lecz któż tam wie, czy przez gęstą woalkę zakrywającą jej starą twarz jest ona w stanie cokolwiek zobaczyć? Czy nie jest aby

ślepa, z pustymi oczodołami skrytymi za czarnym tiulem — ślepa jak bogini przeznaczenia.

1 Wodan — największy bóg germański, przedstawiany zazwyczaj w charakterystycznym kapeluszu (przyp. tłum.)